

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.

W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.

W W. Ks. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.

W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.

Ogłoszenia do Roli przyjmuje się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miesiąc. Reklamy po 20 kop. wiersz.

Adres Redakcyi. — Warszawa — Nowy-Świat Nr. 4.

PRZECIW TANDECIE!...

(markowanie wyrobów rzemieślniczych).

W tych dniach, w tutejszym Oddziale Towarzystwa popierania przemysłu i handlu podniesioną została kwestya znaczenia czyli markowania wyrobów rzemieślniczych, wysyłanych od nas na odległe rynki zbytu w ogóle, a w szczególności do Cesarstwa. Dzienniki nasze, zajęte, jak zwykle, polityką wielką i—teatrem, nie zwróciły na tę sprawę bliższej uwagi, zaznaczywszy ją zaledwie w przelocie, w swoich, po największej części banalnych i niedokładnych, „sprawozdaniach z posiedzeń“,— a jednak jest to sprawa na dnie której spoczywają rzeczy i fakta o wiele ważniejsze, niżby ktoś na oko mógł sądzić.

Wprawdzie i wnioskodawca, występujący w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu, nie chciał czy nie umiał umotywić ściślej a gruntowniej potrzeby markowania wychodzących z Warszawy wyrobów rzemieślniczych; niemniej przecież są tutaj motywa tak poważne i, rzecz można, palące, że należy poznać je bliżej.

Dziesięć, dziewięć, a nawet ośm lat temu jeszcze, widoki zbytu dla wyrobów naszych na rynkach dalekiego Wschodu, były świetne w całym, najrozleglejszym tego słowa znaczeniu. Przyszłość uśmiechała się naszym fabrykom i warsztatom — uśmiechała się całej niemal naszej produkcji przetwórczej i były też chwile w których zdawać się mogło, że gdyby cały nasz kraj zamienił się odrazu w jedną, wielką fabrykę, jeszczeby nie potrafiła ona podolać wszystkim, coraz większym, coraz liczniejszym zapotrzebowaniom.

W niektórych też zwłaszcza rzemiosłach produkcya podniosła się do potrójnych i wyżej rozmiarów, a warsztaty naprzykład szewskie były formalnie zasypywane zamówieniami napływającymi z wszystkich stron i gubernij Cesarstwa.

Tak było; pamiętają to dobrze rzemieślnicy nasi, lecz na nieszczęście, nie trwało to zbyt długo.

Obuwie warszawskie, które w ciągu lat kilku wyrobiło sobie tam wziętość tak wielką i szeroką, jaką nigdy może i nigdzie żaden inny wyrób poszczycić się nie mógł, poczęło, najpierw powoli, następnie coraz wyraźniej na wziętości tej tracić, aż nareszcie przyszedł ów rok fatalny (1881 — 1882), w którym, z tychże samych rynków rosyjskich, na których dopiero co dobijano się o „towar warszawski“, zwrócono ni mniej ni więcej, jeno około (fakt ten zanotowały w swoim czasie wszystkie prawie dzienniki) 40,000 par obuwia z podeszwami — papiero wemi!

Zwrócono nędzną, oszukańczą, niesumienną tandetę, i od tej mianowicie chwili owe świetne widoki dla wyrobów tutejszych najfatalniej — zbladły, po części nawet znikły tak, jakby ich nigdy przedtem nie było, jakbyśmy, pod względem zaopatrywania okolic słabo rozwiniętych na polu przemysłem we wszelkie ich a olbrzymie potrzeby, nie byli rzeczywiście w najkorzystniejszych warunkach.

To samo bowiem, co się stało z szewstwem — stało się w mniejszym lub większym stopniu, z produkcją innych rzemiosł naszych, jak naprzykład z produkcją krawiecką, stolarską, rękawiczniczą, siodlarską i t. d.

Na rynki Cesarstwa, zamiast dawniejszych wyrobów, odznaczających się wszelkimi przymiotami wyrobów dobrych i rzetelnych, wyszły z pod ucziwej, sumiennej i uzdolnionej ręki rzemieślnika polskiego — poczęła w coraz większej napływać obfitości owa nędzna, niesumienna tandeta, a wyraz ten, obiegając z ust do ust, stał się dziś na tychże samych rynkach, odnośnie do wyrobów warszawskich — najpopularniejszym.

Fakt to smutny — smutny nad wyraz wszelki, lecz niestety, prawdziwy.

Spytajcie się tych nielicznych dziś rzemieślników, którzy potrafiłi jeszcze utrzymać jakie takie stosunki z niektórymi rynkami rosyjskimi i sami rynki te odwiedzają, a opowiedzą wam, jak tam jest traktowanym obecnie ów rozchwytywany tak niedawno jeszcze, „towar warszawski“. Opowiedzą wam oni, jak wyroby zwłaszcza wiedeńskie, wyparły do szczytu już nieledwie produkcję naszą — jak dość jest wspomnieć o wyrobie warszawskim, aby w odpowiedzi usłyszeć: „ech, to z pewnością tandeta!“ — opowiedzą nam wiele jeszcze rzeczy ciekawych i pouczających, stwierdzonych własną praktyką i zaobserwowanych własnymi oczyma.

Nie najciekawszym wszakże, ale najsmutniejszym z tego wszystkiego jest fakt, że dzięki tej opinii, jaką wyrobom naszym wyrobiła na tych rynkach odległych dostarczana tam nieszczęśliwa tandeta — straciliśmy tak wiele, iż się to obliczyć nie da, straciliśmy olbrzymie, jakby dla nas umyślnie przeznaczone skarby — straciliśmy miliony uczciwego zarobku, — zarobku tak pewnego, jaki tylko najszczęśliwsze pod tym względem położenie geograficzne, przy połączeniu siecią dróg żelaznych z najgłówniejszymi centrami handlu rosyjskiego, dać nam było w możności.

Straciliśmy miliony zarobku tak wielkiego, że przy nim żadne przesilenie ekonomiczne, żadna stagnacya etc. nie dałyby nam się uczuć tak, jak je dziś czujemy.

Olbrzymie źródła, nieprzebrane kopalnie zysków, jakie nam się otworzyły tam, na tym wielkim obszarze niezliczonych potrzeb, zabagniła, zaprzepaściła nam — tandeta!

I doprawdy, gdy się dziś rozmyśla nad tą ciężką krzywdą ekonomiczną, jaka na kraj spadła, nad zatrata tych źródeł i środków, przy pomocy których moglibyśmy byli dźwignąć się z biedy i pozyskać jedną z bardzo poważnych podstaw dobrobytu, gdy się nad tem wszystkiem, powiadamy, rozmyśla — to mimowoli zapytać się trzeba: jaka ręka oddała nam tę bolesną usługę — jakież to zły duch w tę sprawę się wplątał?

Mój Boże! — spadną znów na nas gromy; zarzuca nam „rozbudzenie namiętności“, „zasiewanie niezgody“, „nietolerancję“, „zaciekłość stronnictwa“, „nienawiść plemienną“ — ba, któżby tam zresztą zapamiętał cały spis tych zbrodni, — zarzuca nam to wszystko; a jednak my musimy powiedzieć znowu prawdę:

Owym złym duchem, co nas pozbawił największych, najpewniejszych szans rozwinięcia z czasem i utrwalenia handlu ze Wschodem, co tamtejsze rynki zalał podłą, jak się nasi ojcowie wyrażali, tandetą, co naszą pracę na długie może lata splugawił i zdyskredytował, jest żyd — tylko żyd, nikt inny. Chciwym wzrokiem spojrzął on w stronę, gdzie dla naszego przemysłu uśmiechała się owa świetna przyszłość, dojrzał tam zyski, lecz nie poszedł do nich drogą uczciwą. Poszedł, jak zwykle, drogą szwindlu, oszustwa, i szwindlem popsuł wszystko!

Toć nawet pisma popierające z zasady (!) interesa polskiego judaizmu, nie zaprzeczą, nie mogą schować faktu, że całe owe masy zwracanej nam t a n d e t y były tam wysyłane przez żydów, przez specjalnych w tym nowym kierunku przedsiębiorców, których odrazu, jakby za danym znakiem, powstała ilość wielka, a powstała w celu jednym jedynym: produkowania na szeroką skalę — wyrobów możliwie tanich i — możliwie lichych.

Nie koniec przecież na tem.

Czy wiecie, czyje to dziś ręce wyrabiają tę olbrzymią masę obliczoną na oszustwo i stojącą na oszustwie nędzoty? Niestety, wyrabia ją, w największej stosunkowo części, rzemieślnik nasz, polski, rzemieślnik ten sam, który tak niedawno jeszcze, na samą myśl przyłożenia uczciwej ręki do szwindlerskiej fuszerki byłby spłonął rumieńcem oburzenia i wstydu, a który dziś robi t a k j a k c h c e żyd, albowiem zostaje on wyłącznie na łasce i niełasce żyda i na jego chlebie (!).

Niktby może uwierzyć nie chciał, a jednak jest to faktem istotnym, że dziś rzemieślnicy, pozostający w takiej

służbie hańbiącej i poddaństwie ciężkiem — poddaństwie, które ich spycha razem z rodzinami w przepaść rozpaczliwej nędzy materialnej i moralnego upadku — liczą się już, w samej Warszawie, n a t y s i ą c e !

Jak się to stało? — jak doszło do takiego sromu i takiego — nieszczęścia? Smutny to nad wyraz i bolesny proces, ale poznać go trzeba; poznamy go też w artykule następnym i zrozumiemy dopiero w jak ścisłym — z kwestją m a r k o w a n i a wyrobów rzemieślniczych — pozostaje on związku.

J. Jeleński.

(Dokończenie nastąpi.)

L U D

W ŚWIELE JEGO RZECZNIKÓW.

Gdyby ktoś zapytał uważnego czytelnika, jaka jest dziś najżywoźniejsza kwestya w naszym piśmiennictwie. — to taki czytelnik odpowiedziałby bezwątpienia: kwestya ludowa.

Całe dziesiątki mniej lub więcej utalentowanych, mniej lub więcej powołanych pisarzy, za cel, za zadanie swej pracy, postawiły sobie lud, — chcąc dla niego wywalczyć „prawa bytu“ wszędzie, nawet w dziedzinie najdelikatniejszych abstrakcyj psychologicznych.

Czegóż bo już nie zrobiono?! Zbadano obyczaje ludu, opisano dokładnie jego ubiór, jego chatę, a długą litanię potrzeb ludu, zna dzisiaj, dokładniej niż niegdyś ministrowie, każda uważna dziewczynka, kończąca pensyę!

Więcej nawet; podsłuchano najdelikatniejsze odcienia uderzeń chłopskiego serca, zrobiono analizę chłopskich uczuć i myśli, a chłopka poezya — to skarb z którego czerpią, lub który trwonią nierozważnie wszyscy prawie nasi pieśniarze.

Szczęśliwy to lud, który potrafił obudzić tyle zajęcia; błogosławiony, iż między starszą bracią znalazł tylu rzeczników i wielbicieli!... A jednak, czemuż ten lud dotąd taki dziwnie nieufny i, wybaczenie wyrażenie, taki dziki na poły?

Pytajmy historyi. W zapyłonych archiwach, na zbitych kartach starych kronik i dokumentów znajdując się widoczne, niezaprzeczone ślady, że ludem zajmowano się już dawno i bardzo dawno. Ówdzie synod prowincjonalny wyswabadza z pod pańszczyzny najstarszych synów chłopskich, aby ci mogli się oddawać naukom; ówdzie synod djecezyalny poleca proboszczom zajmować się oświatą i umoralnieniem ludu. Każdy biskup, wizytując parafię, bada troskliwie obyczaje, stan moralny i materyalny parafian, a lubo aktualni biskupi, zasiadając w Senacie, radzą o potrzebach dawnej Rzeczypospolitej, to przecież ich sufragani całe życie, nieraz pełne zdolności, energii i zapału, spędzają właśnie

nie doznała, — coś, co się równało bojaźni i radości, zakłopotaniu i szczęściu... Usunęła rękę i dość długo siatki nie tknęła; później jednak, zapomniawszy prawdopodobnie co się stało, nie mogła znowu wyjąć siatki; co widząc, Julian już bez prośby jej pomagał.

Bawili się tak długo, przeszło dwie godziny, i nierównie więcej raków wypuścili, niż złapali.

Olesia, uszczęśliwiona, ani widziała co się wkoło niej działo. Marząc pierwszy raz w życiu o pięknym kuzynie, nie wątpiła o jego wzajemności. W jej wieku, panienska nie przypuszcza, by w życiu były zawody i rozczarowania. Kogo ona kocha, ten i ją kochać musi!... Zreszta, czyż nie przyjechał na jej urodziny?...

Pojawienie się gospodarza i pana Stanisława Wybickiego było hasłem do ukończenia zabawy. Wkrótce powyjmowano wędkę i siatki, poczem parami ruszyli wszyscy do domu.

Gdy salon rzęsiście oświetlono, młodzi ludzie, przebrawszy się, puścili się w tany, przy odgłosie kapeli, złożonej z dwóch Moszków, trzech Herszków i jednego Icka, którzy, osłonięci egzotycznymi roślinami, ustawionymi umyślnie w tym celu w jednym z rogów salonu, nie przerażając nikogo swymi twarzami, zachęcali nawet starszych do skoków.

Wandzia, wsparta na ramieniu Juliana, ślizgała się po szklanej posadzce, a tak jej było lekko, swobodnie, przyje-

PRZEZ POLINĘ ŁEZ.

POWIEŚĆ

Józefa Rogosza.

(Dalszy ciąg).

Wandzia, którą zakłopotanie prędko opuściło, była z Julianem swobodna, jak z każdym innym; wszakże ilekroć ich oczy zbiegły się przypadkiem, sama nie wiedząc czemu, natychmiast swoje w inną stronę zwracała, jakby nie mogła znieść jego spojrzenia. A przecież te oczy szafirowe spoglądały tak słodko, łagodnie... Powiemy więcej, w nich nietylko nie było śladu zuchwałości, nawet się zdawało, jakby był braki prawdziwej siły męskiej.

Zdarzyło się raz, że Wandzia, nie mogąc podnieść wspaniałej siatki, poprosiła młodego człowieka by jej pomógł. Julian usłuchał wezwania, a podnosząc siatkę, którą ciągle trzymała, dotknął się jej ręki. Co się z nią wtedy działo — nie mogła zrozumieć. Lekki dreszcz, jakby prąd elektryczny, przebiegł jej od stóp do głowy; w piersiach czuła drżenie, na twarzy gorąco. Było to coś, czego dotąd nigdy jeszcze

wśród swoich dyecezyan, obcuja z nimi ustawicznie i troszczą się o ich dobro tak, jak to dobro na owe czasy pojmują!

Mądrze i umiejętnie zorganizowana praca, musiała też wydać owoce. Na tysiące możnaby liczyć jednostki, które duchowieństwo wyrwało z otchłani ciemnoty i postawiło na świeczniku oświaty krajowej; — a nie dojrzy chyba nikt w tem zdaniu stronnicej przesady, jeżeli się weźmie na uwagę, że wszystkie kanonie po katedralnych i kolegiackich kapitułach obsadzone były kandydatami, od których wymagano stopnia doktora praw, teologii, filozofii lub medycyny, a kandydatami byli tu wyłącznie księża, wychodzący po największej części z ludu. Że dalej, ów niższy a światły chór katedr naszych, owi światli uczeni a skromni wikaryusze, altarzyści, teologowie i kaznodzieje dziećmi ludu też byli.

A społeczeństwo? Społeczeństwo wojownicze, rycerskie, zostawiało duchowieństwu pracę pokojową, pojmując los ludu po swojemu. Tak król jak i stany, nie miały dość cierpliwości do pracy organicznej, ale za to, z jakąż wspaniałomyślnością każdy objaw dodatni w ludzie, każdy czyn bohaterski, uświęcały najwyższą wtedy nagrodą: przypuszczeniem kmiecia do stanu szlacheckiego, do używania tych przywilejów, które im były drogie, narówni z całością ojczyzny.

Aż oto w przeddzień chwil obecnych myśliciele opowiadają, że los chłopca jest ciężki. Nizkie instynkta nieokielżnanych jednostek w społeczeństwie dają obfity materiał do bolesnych nad dolą ludu utyskiwań, a w konsekwencji do rzucenia płamy na całe społeczeństwo, do oskarżenia go o ciężką zbrodnię ucisku braci rodzonej.

Czemu przypisać, że owoc długoletniej, kilkowiekowej pracy nad dolą ludu spełził na niczem prawie? Temu chyba, że pracy nie podjął nikt prawidłowo. Szlachetne popędy wydały to tylko, co wydać mogły. Wspaniałe błyskawice oświeciły tu i ówdzie całe uroczyska krajobrazy, ale łagodny blask słońca, co potężnymi, jak wszechmoc Boża, promieniami wnika w najtajniejszy zakątek rozpadliny skalnej, nie oblał dobroczynnym światłem owych ponurych borów i pieczar kmiecej ciemnoty.

Ta mała wycieczka w dziedzinę przeszłości jest konieczną, aby w jej nieomylnem świetle łatwiej dało się poznać i ocenić wartość pracy dzisiejszych rzeczników ludu i przewidzieć korzyści, jakie z tej pracy mogą wypłynąć.

Porównywając pracę nad ludem dawną, z pracą obecną, sięgającą początków będącego już na schyłku naszego stulecia, uderza nas jedna okoliczność.

Gdy tam, troszcząc się o dolę ludu, o jego potrzeby i szczęście, nie zapominano przecież o jego wadach i przewinieniach;—gdy tam, pragnąc jego oświaty, wyrzucano mu jego ciemnotę;—starając się o lepszą dolę, sarkano na jego lenistwo,—przygarniając do siebie, ubolewano nad jego niewdzięcznością,—dzisiaj widzi się wszystko, oprócz win ciążących na owym ludzie bezpośrednio.

Dzisiaj pijaństwo to konieczność (!), lenistwo,

mnie, że ze swoim tancerzem byłaby chętnie na koniec świata uleciała... On mówił, głos zaś miał tak melodyjny i tak pięknie się wysławiał, że byłaby go słuchała godzinę, dzień, wieczność całą...

Co się jej stało?... Byłże to obłąd, lub może jaka muzyka całkiem nowa, nieuchwytna, która poruszyła wszystkie struny jej duszy?... Byłże to głos zwodniczy, którym zły geniusz wiedzie duszę na manowce — czy pieśń żeglarska, witającego zdala przystań spokojną?...

Gdy nad ranem z ojcem wyjeżdżała, Julian był przy drzwiczkach powozu; żegnając się, powiedział: „Do widzenia“! Już chciała zapytać: „Kiedy?“ — lecz wstrzymała się szczęśliwie, za co w duchu Bogu podziękowała.

Przyjechawszy do domu, modliła się i płakała, a potem, wzięwszy do rąk amulet, który jej Alompra ongi na szyi zawiesił, wpatrywała się weń długo. Czy mu dziękowała za te chwile szczęśliwe, których doznała pierwszy raz w życiu, czy może prosiła go o siłę na przyszłość? Na amulecie jasniało oko Opatrzności... Czy nad nimi miało czuwać? Pod okiem były dwie ręce trzymające się wzajemnie... Czy to ich ręce? Ucałowała amulet, nie jak świętość, lecz jak pamiątkę po człowieku zacnym, o którym wspomnienie w sercu przechowywała, a pomodliwszy się gorąco za wszystkich — usnęła o słońca wschodzie.

to łatwa do zrozumienia „a p a t y a“, zbrodnia nawet, to o b l ę d tylko!

To też, gdy dawniej traktowano lud jako istotę wolną, rozumną, świadomą swoich postępów i odpowiadającą za nie,—dzisiaj gorzej ludowi, bo w oczach nowożytnego myśliciele a ten lud, to masa bezduszna i bezmyślna, — dziecię uśpione, co najwyżej, które naprzód obudzić, a później dopiero kształcić trzeba.

Tej okoliczności już dosyć, aby zważyć na długo o przyszłości ludu, — a to jest pierwszą, zasadniczą wadą prac naszych rzeczników i... obrońców ludu.

Objaśnijmy to przykładem.

Gdyby tej taktyki trzymali się jedyni pośrednicy między światłem, prawdą a ludem, gdyby kapłani z ambon dostrajali się do ogólnego brzmienia dyapazonu owych hymnów, śpiewanych ku ukołysaniu niedoli ludowej, źle by było i bardzo chyba źle.

Wszakże i ci następcy owych dawnych zwiastunów lepszej doli ludu, uważają lud ten za istotę wolną i myślącą, nie wahają się tedy nazywać złego po imieniu, traktują je jako takie i, co jest faktem nie dającym się zaprzeczyć, otrzymują rezultaty o wiele większe, widoczniejsze i trwalsze od... prac liberalnych pisarzy—i rzeczników tegoż samego ludu.

Gdybyż na tę jedną tylko okoliczność panowie ci chcieli zwrócić bliższą uwagę, wówczas samo pojęcie ludu stałoby się jaśniejsze i dokładniejsze, a obok tego, otwarłoby się pole do nowych badań i do poznania całkiem nowych na tem polu wyników.

Mniej rozczarowań a więcej praktycznych rezultatów, oto niezawodny skutek przedstawiania prawdy w jej pięknem, jasnem, nieskałanem, nie zaćmionem szlachetnym nawet optymizmem — świetle.

Tymczasem, z nieposzanowania tej właśnie zasady w kwestjach dotyczących ludu, wynika cały szereg mniejszych lub ważniejszych, a często bardzo grubych błędów, które chcąc poznać, musimy już wejść na arenę dzisiejszej „literatury ludowej“, żywej, tętniącej całą siłą pulsów — dziwnych namiętności.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORYI WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

(Dalszy ciąg.)

„Cały drobny handel, — pisze p. Ernest Desjardins, członek instytutu, podobnie jak p. Waddington, nie podejrzany wcale o przesady, — pozostaje w ich rękach: mleko,

XXI.

Pan Ludwik niebardzo był zadowolony, gdy mu brat powiedział, że do Warszawy pojedzie. Odradzał mu jakiś czas, mówiąc że gorąco, że w Warszawie niema teraz co robić, bo wszyscy na wieś wyjechali, zwracał jego uwagę na trudy podróży i na kurz nieznośny, lecz wszystko było daremne. Pan Stanisław, nie mówiąc w jakim celu, wyjechał nazajutrz po balu, samym wieczorem, gdyż chciał pierwszą noc przespać u jednego z dalszych sąsiadów, do którego oddawna się wybierał.

Wandzia została ze stryjaszką na gospodarstwie.

Przyjechawszy do Warszawy, pan Stanisław odwiedził najpierw daleką krewną, hrabinę K., która przyjęła go bardzo uprzejmie; potem poszedł do adwokata.

Mecenas zdziwił się niezmiernie, usłyszawszy jakich wiadomości żądał od niego brat pana Ludwika.

— Ależ, panie dobrodzieju, — rzekł — ja byłem pewny, że pan dobrodzieju wiesz wszystko najlepiej. Wszak o tem wróble świegocą na dachach.

— Być może iż wróble świegocą, lecz ja nic nie wiem, i właśnie, aby się czegoś prawdziwego dowiedzieć, przyszedłem do mecenasa.

— W takim razie, muszę panu dobrodziejowi powiedzieć, że jest źle, bardzo źle, nie może być gorzej. Od lat

mięso, gorzalka przedewszystkiem, której oni sami nie piją, a którą zaprawiają wtryolejem, oszukując rumunów, trując zarazem wieś i miasto.

„Ten lud. — mówi w innym miejscu ten sam pisarz — nie chce ani służyć, ani uczyć się, ani uprawiać roli, ani płacić; nie przyjmuje na siebie żadnego obowiązku, nie myśli o poświęceniach, nie poddaje się nawet ustawom policyjnym ani przepisom higienicznym i osiemkroć stotysiącami rąk swoich nie chwyta ani za plug, ani za łopatę, ani za kabin, tylko — za pieniądzel..“

Oto klienci, jakimi p. Waddington obdarzył Francję, tę odwieczną protektorkę uciśnionych; oto ci, których sprawę wziął w rękę ku zdumieniu Bismarka, który pękał ze śmiechu, ilekroć nasz minister wyjeżdżał na stół z tą kwestyą.

Po traktacie berlińskim były momenta prawdziwie rozdzierające w bólu tego narodu, który Europa skazała na pochłonięcie przez żydów.

Nie chodziło tutaj — powtarzamy — o dopuszczenie pewnej oznaczonej liczby żydów, ale o dozwoleń przystępu wszystkim, którym spodoba się osiąść w tym kraju na szkodę krajowców. Według doktryny Waddingtona, każdy żyd był obywatelem rumuńskim.

Stary rewolucjonista, człowiek który podczas swego wygnania we Francji był przyjacielem wszystkich wybitniejszych republikanów, Bratiano, wyrzekł w izbie deputowanych te pamiętne słowa: „Panowie, w życiu mojem politycznem przeżyłem rozmaite przejścia, rozmaite nieszczęścia, ale nigdzie nie czułem się tak nieszczęśliwym, jak w Berlinie.“

Żydzi tymczasem nie posiadali się z radości, a Cremieux na jednym z posiedzeń Alliance israelite zawołał w tonie dytyrambicznym:

„W obec tak pięknego dzisiejszego naszego położenia, wiara moja jest wielka. Ah! pozwólcie mi to wszystko przepisać tak szlachetnej, tak lojalnej, tak czystej postawie, jaką przybrał w Berlinie nasz minister spraw zagranicznych, nasz Waddington! (Grzmiące oklaski).“

Ten wyraz nasz zdaje się wskazywać, że Waddington pochodzi z żydów; chyba że Cremieux chciał przez to powiedzieć, że minister spraw zagranicznych jest przez nich kupiony.

Czy żyd, czy zapłacony przez żydów, Waddington w każdym razie nie oszczędził niczego żeby obronić swoją rasę i zarobić coś przy tem. Obstawał przy paragrafie traktatu berlińskiego, który był śmiercią dla Rumunii, z uporem czysto żydowskim. Francja, dzięki jemu, owa szlachetna Francja, odegrała wstrętą rolę żandarma, skuwającego ręce narodu słabego, aby ułatwić żydom wejście z siłą wtryoleju do gardła — umierającego.

Bratiano, z energią, z niewystygłą nadzieją prawdziwego patrioty, przedsięwziął podróż po Europie, podobną do podróży Thiers'a, żebrzącego za Francją zwyciężoną.

kilkunastu prowadzę interesa pana Ludwika Wybickiego; przez cały ten czas radziłem mu jak brat rodzony i przestrzegałem jak dobry przyjaciel, lecz nic nie pomogło. Ja tędy, on owędy, ja do Sasa, on do lasa. Gospodarstwo było zawsze najgorsze, o rachunku i oszczędności w Piławicach nikt nigdy nie słyszał, wszystko stało nierządem. Wśród takich stosunków, prędzej lub później budowa runąć musiała.

— Powiedz mi przynajmniej, panie mecenasie, jak wielkim jest zło?

— Jak największe, panie dobrodzieju, jak największe! Towarzystwu winien brat pana dobrodzieja samych odsetków przeszło dziesięć tysięcy, a żydom bez liku. Wszyscy oni jakiś czas cicho siedzieli, a teraz żądają przymusowej sprzedaży Piławic.

— Przecie mój brat — zauważył pan Stanisław — był tu przed kilkoma miesiącami i zapłacił samemu Towarzystwu blisko pięć tysięcy rubli, między innych zaś wierzycieli także przeszło tysiąc rozdzielił..

Mecenas zaśmiał się na głos cały.

To kropla w morzu, panie dobrodzieju, jedna kropla! Z temi pieniędzmi uczyniłem jak mogłem, oddałem coś Towarzystwu, coś innym wierzycielom, i burza chwilowo została zażegnana. Dziś atoli zrywa się ona gwałtowniej niż kiedykolwiek, grożąc zupełnem zniszczeniem.

Austria, Rossya i Turcyja indywidualnie uznały niepodległość Rumunii. W Anglii, we Włoszech, Bratiano znalazł ministrów zaprzędanych żydom i napotkał opór nieubłagany. Sumienia jednak oburzyły się w obec faktów które opowiadał i odpowiedziano mu: „Mocarstwa podpisane na traktacie berlińskim są solidarne. Niech Francja oświadczy iż gotowa jest uznać niepodległość Rumunii, nie wymagając bezpośredniego wykonania klauzuli tyczącej się Izraelitów, a my zrobimy to samo.“

Waddington uparł się i odpowiadał zawsze: „Dopóki prawa obywatelskie nie zostaną przyznane żydom utrzymującym domy publiczne, szynki z wódką zatrutą, kantory lichwiarskie, dopóty nie będzie ministra francuzkiego wierzytelnionego przy rządzie rumuńskim.“

Nadaremnie perswadowano mu: „Ale w czemże ta kwestya, należąca całkiem do zakresu wewnętrznej policyi, może obchodzić Francję. Tu nie chodzi nawet o wolność wyznania, gdyż rzeczą jest uznaną, że Rumunia jest krajem najbardziej tolerancyjnym na całym świecie.“

Waddington ani drgnął, a lewica, wnięszana prawie cała w spekulacye finansowe i będąca tem samem na żółdzie żydowskim, znajdowała naturalnie postępowanie to nieporównanem.

Drugi wysłaniec rumuński, p. Catargi, nie był szczęśliwszy. Oto dosłowna, według dzienników żydowskich, odpowiedź cyniczna, jaką mu dał Gambetta: „Radzę waszemu rządowi, aby spełnił co od niego żądają; Francja nie uzna niepodległości waszego kraju, dopóki nie przyznacie praw cywilnych wszystkim żydom bez wyjątku. P. Cremieux obstaje za tem. P. Waddington wziął na kongresie berlińskim inicjatywę w tej kwestyi; honor Francji polega na tem, żebyście się z niej nie wykreśli. Ja sam dałem słowo Cremieux'mu, że go będę popierał: a więc mogę tylko jeszcze raz upomnieć was, abyscie spełnili swoje zobowiązania.“

Powtarzamy, że tu nie chodziło wcale o wolność wyznania.

P. Ernest Desjardins pisze jeszcze o tem w broszurze swojej: „Żydzi w Mołdawii.“

„Twierdzą, że motyw religijny nie gra żadnej roli w krokach przedsięwziętych przez rząd, ani w nieprzyjaznem usposobieniu jakie ludność okazuje dla żydów. Oziębłość wyznawców obrządku greckiego dla swego wyznania i obojętność duchowieństwa płatnego przez rząd, czyni niemożliwym wszelkie podejrzenie o prześladowanie religijne. Celem nienawiści jest tu lud obcy w kraju, pochłaniający jego istnienie, tworzący państwo w państwie, jak protestanci we Francji przed edyktami Richeliengo.“

Ale mamy w tej mierze świadectwo jeszcze większej wagi, bo świadectwo p. Ad. Franck'a, który w świecie żydowskim używa zasłużonego szacunku.

W odpowiedzi danej p. Ksaweremu Roux, który zapytywał się go, jakie są, zdaniem jego, przyczyny agitacyi

— Jak ją odwrócić?... mecenasie, jak ją odwrócić?... — pytał pan Stanisław jakby sam siebie, przechadzając się po gabinecie.

Biedny człowiek, widział, że stanął nad przepaścią; zaufał bratu, i rodzony brat go zgubił. Co się stanie z nim, co z Wandzią?...

— Ratunek tylko wtedy będzie możliwy — odrzekł adwokat — jeżeli pan dobrodziej dasz jeszcze kilkadziesiąt tysięcy...

— Ależ, mecenasie, ja oddałem wszystko! Więcej nie mam!

— W takim razie, jako dobry przyjaciel, jedynie to mogę poradzić, abys pan dobrodziej postarał się coprędzej o jaką posiadłość... Piławice będą z pewnością sprzedane. Tu niema ratunku! Dziś lub jutro, wszystko zasekwestrują!

Pan Stanisław wyszedł od adwokata prawie bezprzytomny. Tyle nieszczęść spadło już na niego, że nie przypuszczał, aby mu nowe mogły grozić; tymczasem w jego głowę skołatana uderzył cios nowy, którego następstwa miały być nietylko bolesne, ile przykre i poniżające. On wiedział z doświadczenia, że człowiek biedny jest w społeczeństwie niczem, i dobrze pamiętał słowa pana Brown, który ongi mówił, że świat nie wierzy nawet w uczciwość biednego. Sam nie bał się nędzy, boć do niej przywykł zamłodu, zresztą

antysemityckiej, wzmagającej się ciągle w całej Europie, profesor kolegium francuzkiego oświadcza, że zarówno w Rumunii jak w Rosyi wiara religijna obcą jest zupełnie usposobieniu nieprzyjaznemu żydom.

Uczony autor „Kabały“ postąpiłby bardzo grzecznie, gdyby nam powiedział, w imię jakiej to zasady my wdajemy się w sprawy wewnętrzne narodu, który o tyle jest nie-szczęśliwy, że jest za słaby aby nas poprosić, iżbyśmy się nie mieszczyli w to co do nas nie należy.

Rumunia jednak uniknęła w połowie niebezpieczeństwa.

Jeden z deputowanych republikańskich miał odwagę podnieść ten przedmiot, którego wszyscy unikali jaknajstaranniej.

„Półtora roku temu,—rzekł p. Ludwik Legrand na posiedzeniu 15 grudnia 1879 r., jak traktat berliński, ogłosił niepodległość Rumunii. Austrya, Rosya, Turcja, trzy mocarstwa najbardziej interesowane w utrzymaniu traktatu berlińskiego, uznały zaraz niepodległość tego małego narodu. Włochy świeżo poszły za tym przykładem. Żądam aby Francya uczyniła toż samo i zawiązała z Rumunią regularne stosunki dyplomatyczne.“

Waddington, ma się rozumieć, nie chciał powiedzieć prawdy i wytłumaczyć pobudek które nim powodowały; obawiał się ogłoszenia pewnych dokumentów, któreby mu nie były przyniosły zaszczytu, bąknął tylko coś o naturalizacji pojedynczo i kategorjami, które go nie obchodzą wcale i w które rząd francuzki mieszać się nie miał żadnego powodu.

Z obawy aby nie był zdemaskowany, ustąpił w końcu. Żydzi zresztą czuli, że cierpliwość rumunów wyczerpywać się zaczyna; wiedzieli, że gotują się z tej strony sceny, wobec których egzekucye bułgarskie, według słów Retza, cytowanych nieraz przez Maksyma du Camp, wydałyby się istną sielanką.

Poprzestano na wysłaniu na członka komisji dunajowej urzędnika, którego pochodzenie semickie nie zdziwiłoby mnie zupełnie, a który, w każdym razie był wiernym reprezentantem żydostwa francuzkiego w tych sferach. Wybrano niejakiego Barrera, ex-komunarda, który przeszedł na gambetystę. Sądząc z szybkiej jego ucieczki w chwili gdy bój zaczął się na ulicach, sądzę, że w chwili wielkiej rzezi, jego współwyznawcy nie wiele by mogli liczyć na niego. Zresztą wdzięczne żydostwo wysłało go do Egiptu, gdzie odnajdziemy go niebawem.

Żydostwo nie okazało się też niewdzięcznem i dla Waddingtona. W r. 1883, „Alliance israélite“ wydobyło dawnego ministra z pogardliwego zapomnienia w jakie był popadł i wysłało go do Rosyi, aby tam bronił, z powagą ambasadora Francyi, jeśli jeszcze jaka powaga jest do tego tytułu przywiązana, sprawy żydów w Rosyi.

P. Juliusz Delafosse, wypowiedział przy tej sposobności mowę, odznaczającą się świetnym patryotyzmem. Pozostawiając na boku wszelką kwestyę polityczną, stanął on

jedynie na gruncie interesów francuzkich; przypomniał, że p. Waddington, lgnąc do Anglii, stawał na kongresie berlińskim wbrew wszystkim projektom jedyne go sprzymierzeńca, na którego mogliśmy liczyć; żądał aby na tej ceremonii, na której wszystkie narody współubiegały się w rozwinięciu okazałości, Francya była reprezentowana przez jedno ze swoich prawdziwych dzieci, przez jakiegoś znanego chlubnie żołnierza.

Wszystko nadaremnie. Przemówiła „Alliance israélite“, zagłuszono mówcę, a z trybun usłyszano deputowanych wołających ze śmiechem: Anglika! Anglika!

Waddington pojechał do Rosyi popisywać się naszym kosztem ze swoim szlachectwem z biletu wizytowego i swoim śmiesznym herbem, na którym figurowały lilie, z toporem w hełmie i z dewizą, która u człowieka tak dwuznacznego była istnem szyderstwem: „Lojalność!“

Podczas swej ambasady Waddington, przekonany że z nami można sobie pozwolić wszystkiego, pozwalał sobie też co się zowie. Aby przeszkodzić wszelkiemu zbliżeniu się naszemu do Rosyi, Niemcy pragnęły żebyśmy zrobili afront Rosyi. Waddington zgodził się na to chętnie i na wielki wydany przez siebie bal oficjalny, nie raczył zaprosić ministra spraw zagranicznych, p. Giersa.

Fakt ten, który może czytelnicy moi poczytają za wynaleziony przezemnie, jest bezwzględnie autentycznym; mówi o nim w „Gaulois“ z d. 22 czerwca 1883 r. p. Ludwik Teste, pisarz bardzo umiarkowany i bardzo obznajmiony z kwestyami dyplomatycznymi. Czyż to nie zdumiewające: Francya, w wigilię bankructwa, dająca dwakroć pięćdziesiąt tysięcy franków jakiemś tam anglikowi, na to, aby robił impertynencye jednemu mocarstwu, które zachowało dla nas jeszcze cię sympatyj.

Wysłanie Waddingtona do Londynu, uwieńczyło narzeczcie ten gmach śmieszności. Mówiono, że były wychowaniec szkół w Cambridge, osiedlił się tam nie myśląc o powrocie, i że, ponieważ anglik nigdy nie traci swego charakteru obywatela angielskiego, ma nadzieję zostać mianowany parem. Nie sprawdziło się to, niestety, na nasze nie-szczęście: Waddington ciągle służy Anglii, będąc na naszym żołdzie. On to skłonił rząd francuzki do cofnięcia zaufania i odebrania dowództwa dzielnemu admirałowi Pierre, który umarł ze zmartwienia. Ale arcydziełem był projekt należania Francyi do konferencyi londyńskiej, mającej uregulować kwestyę egipską. Francya nie tylko zgodziła się na okupację angielską Egiptu, tego Egiptu, w którym wpływ nasz tak długo był przeważnym, gdzie utonęły nasze kapitały francuzkie; zgodziła się nie tylko na redukcję długu zagwarantowanego przez wszystkie mocarstwa, ale zezwoliła na pożyczkę przeznaczoną przez Anglię na pokrycie szkód, które ona sama zrządziła.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Idęły belletrystyki pozytywnej.

(Dalszy ciąg.)

„Jeż w zakresie powieściopisarstwa jest przodownikiem myśli trzeźwej, pozytywnej... oświadcza p. Piotr Chmielowski w dziele swoim p. t. „Nasi powieściopisarze“ str. 553).

„Punkt ogniskowy — przyznaje się sam Jeż w r. 1875, odnośnie do swojej działalności artystycznej — znalazłem w zasadach szczerze i wyraźnie postępowych...“

W obec dwóch powyższych zdań wolno zaliczyć Teodora Tomasza Jeża do belletrystów postępowych mimo różnicy wieku, jaka zachodzi między nim a wychowancami nowszych czasów.

Owoce dotychczasowe twórczości Teodora Tomasza Jeża dzielą się na dwie części: na powieści historyczne i społeczne. Pierwsze nie wchodzą w zakres niniejszej pracy, drugie zaś rozpadają się znów na dwie różne od siebie grupy.

Wszystko, co Jeż myślał, o czem marzył, zawarł w powieściach swoich p. n. „Historja o pra-pra-pradziadku“, „Historja o pra-pra-pra-wnuku“ i „Wnuk Chorążego“.

Wprawdzie nosi trzecie z wymienionych dzieł na karcie tytułowej datę późniejszą (1881 r.) będąc jednak dopełnieniem drugiego, należy pomysłem i tendycją do tej samej rodziny.

Pra-pra-pra-dziadkiem jest chłop Kuźma, mieszkaniec

człowiek jeden nie potrzebuje wiele, łatwo może zapracować na chleba kawalek; ale co się miało stać z Wandzią?... Do kraju wracał w nadziei, że rodzicielski majątek odbierze, tymczasem zabrali mu jeszcze to, co na obczyźnie po długoletniej pracy zaoszczędził... Biedna Wandzia! biedna!...

W tej samej chwili, gdy ojciec myślał o córce i biedną ją nazywał, ona była nad wszelki wyraz uszczęśliwioną.

Trzeciego dnia po balu w Żarzeczcu, przyjechał do Piławic pan Julian Rossowski. Wandzia zobaczyła go pierwsza i tak się ucieszyła, że to zauważył sam stryjaszek, chociaż do ludzi bystrych wcale go nie liczono. Młody człowiek przeciągnął wizytę do wieczora. Mówił wiele o Lwowie i Galicyi, którą polubił, i, żartując, prosił Wandzię, by ojca namawiała do zrobienia wycieczki w tamte strony.

— Jeżeli państwo przyjedziecie — rzekł między innymi — będę waszym cicerone bezpłatnym, a chociaż Lwów niewiele ma osobliwości, ręczę że się nie znudzicie. Ruchu tam dosyć, zwłaszcza odkąd zaczęto budować koleje żelazne. Z całego świata zjeżdżają się teraz ludzie do Galicyi.

— Wątpię, byśmy ztąd wyjechali kiedy — Wandzia odpowiedziała. — Tatko dosyć już napodróżował i radby odpuścić, a interesów w Galicyi żadnych nie mamy. Prędzej, sądzę, powinienys pan tu się sprowadzić, bo, o ile mi wiadomo, nawet z Królestwa pochodzisz...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

gminy Hrynenki, wioski, ukrytej w lasach, zapomnianej przez Rzeczpospolitą i szlachtę. Włościanie polscy stracili już oddawna niezależność i wolność, przytroczeni przez rycerstwo do ziemi, zepchnięci do „stanowiska roboczego bydła“, lecz Hryneneczan pominięto bystre oko królewiat. Żyli oni sobie bez „pana“ rządząc się patryarchalnie zwyczajem praocjów słowiańskich, nie zapisani w żadnym grodzie, w żadnym archiwum. Od czasu do czasu wymykał się ktoś z młodszych na Zaporozie, pohulał sobie przypatrzył się ludziom i wojence i wracał pod strzechę rodziciela, aby pomagać staremu przy robocie.

Do tego szczęśliwego ustronia zawitał pewnego razu szlachcic Aleksander Lisowski, herbu Jeż, towarzysz pancerny, fantasta polityczny, który przemyślał nad pomnożeniem sił słabnącej Rzeczypospolitej. Znalazłszy w zapadłym kącie materyał nadający się do eksperymentu, postanowił go dla celów swoich wyzyskać.

Rzeczypospolitej potrzeba więcej ludzi zbrojnych — kalkulował szlachcic — zobaczymy, czy chłop może być dobrym rycerzem.

Upatrzywszy sobie Kuźmę, dzielnego mołojca, który rwał się do pióra i do szabli, wziął go ze sobą na wojnę przeciw wołochom i doczekał się z niego rzeczywiście pociechy. Chłop bił się nie tylko dzielnie i z fantazją, lecz okazał się nawet szlachetniejszym od „klejnotników“ bo kiedy mu po ukończonej wyprawie ofiarowano nagrodę, nie przyjął „świadczenia cnoty“, a wróciwszy do Hrynenek, rozbraił się z błyszczącej zbroi i przywdział na siebie znoszony czahaj, zadowolony, że „spełnił obowiązek obywatelski“. Inni, mniej zasłużeni, wołali na sejmie o beneficja, a on świetny wojownik, którego gospodar wołoski obdarzył pierścieniem a wielkie panie pieściły, nie wspominał nawet o czynach swoich.

Choć Jeż ustroił swego Kuźmę w draperye historyczne, stawiając go na tle wypadków z pierwszej połowy XVII wieku, łatwo domyślić się w „Historii o pra-pra-pradziadku“, poglądów pisarza, który był członkiem znanego swego czasu „Towarzystwa demokratycznego“. Lisowski — to sam autor, a Kuźma — to wcielenie jego idei.

W drugiej powieści, w „Historii o pra-pra-prawnuku“ przedstawia autor czytelnikom dwa pokolenia: starego Ksawerego Jeża, chorążego i jego syna Jana. Kuźma bowiem, mówiąc nawiasowo, przezwiał się podług herbu swego przyjaciela Lisowskiego i wszedł z tem mianem między rycerstwo. Chorąży, Ksawery Jeż wojował w młodości z „Naczelnikiem“, a po rozbiórce kraju osiadł na roli. Jak niegdyś Lisowski, a za tegoż przyczyną historyczny protoplasta domu, odgadł i on zbliżenie się szlachty do ludu i poświęcił tej idei drugą połowę swego życia. Nietylko że pracował sam gorliwie nad usunięciem nieufności stojącej między dworem a chatą, lecz przygotowywał sobie nawet w synach zdolnych wykonawców swego programu. Zawarł on marnżenia swoje w testamencie napisanym przed śmiercią:

— „Do spółki tej wejdzie szlachcic z warsztatem ziemi i kapitałem narzędzi rolniczych, inwentarza, pieniędzy i umysłowej pracy. I każdy gospodarz wejdzie do niej także z tym samym majątkiem. Zasadą tej spółki ma być połączenie warsztatów i kapitałów w celu wzajemnej pomocy, połączenie, na mocy którego nikt ani jednych ani drugich ze spółek samowolnie wycofaćby nie mógł. Każdy członek tej spółki może rozporządzać dowolnie owocami swej pracy, czystym dochodem, dywidendą, ale nie fundamentalnym wkładowym kapitałem. Ten ostatni nie straci swego charakteru, ani przy przechodzeniu z rąk do rąk (w razie sprzedaży, spadku na potomstwo, darowizny, wydzierżawienia), ani przy rozdrobnieniu między spadkobiercami. W razie rozdrobnienia np. jeden warsztat ziemi rozpadnie się wprawdzie na dwa, trzy, dziesięć, lecz każda z tych części wejdzie znów napowrót jako jednostka do składu całości. To samo ma się stać z kapitałem. Nie wolno oderwać ziemi i kapitału od całości. Należą one do wszystkich i zależą od wszystkich, związane solidarnością interesów i podległe kontroli powszechnej. Ciężary, jako to: podatki, zsympki, utrzymanie kościoła, szkoły, szpitala, apteki, spadają proporcjonalnie na wszystkich członków spółki. Gdyby które z większych lub mniejszych gospodarstw miało być źle prowadzone, wtedy naznacza spółka administrację. Przy rozdrobnieniu małych części na jeszcze mniejsze, będzie spółce przysługiwało prawo wkupna w większe, zaczynając od największych, to jest: jeżeli gospodarz umierając zostawił np. dwóch synów, dla których jego udział, podzielony na dwie niewystarczył, to jeden z synów zostanie na części ojca, a drugi może wkupić się na gruncie dworskim i nowe założyć gospodarstwo. Na ten cel ma gromada założyć bank

wzrastający co roku procentami od dochodów, którego przeznaczeniem będzie udzielanie pożyczek, bądź na wkupno, bądź na ulepszenia rolnicze, bądź na ratunek w razie ognia, zarazy na bydło, powodzi, nieurodzaju, i innych nieszczęść. W razie bezpotomnej śmierci, wydalenia się lub utraty za złe prowadzenie się prawa władania majątkiem jednego ze spółników, gospodarstwo jego stanie się własnością gromady, która może część bądź administrować na rzecz ogólną, bądź ją sprzedać, dochody z administracji i sprzedaży wkładając do banku. Gdyby jednak prawny spadkobierca lub właściciel odnalazł się, albo powrócił, będzie miał prawo żądać zwrotu swego udziału.“

Testament powyższy, wygotowany przez chorążego, a raczej przez autora, uznał wprawdzie młody dziedzic, Jan Jeż i wprowadził go w życie, lecz nie doczekał się owoców tej reformy gdyż w kraju zahuczało i zaszumiało. Potomek wojowników wyjechał za granicę.

Ową spółkę zbudował dopiero synowiec Jana, Adam Jeż, syn Stanisława. Ten najmłodszy, współczesny nam potomek Kuźmy, jest bohaterem trzeciej powieści p. n. „Wnuk Chorążego.“

Powyższe trzy powieści nie należą właściwie do beletrystyki „pozytywnej“, choć ostatnia z nich „Wnuk Chorążego“, wyszła po roku 1880 tym, więc w epoce, w której „przodownik myśli trzeźwiej“ uczył się już oburącz programatu postępowców warszawskich; nie wypadało ich jednak pominąć, choćby dla tego, że chłopomania znalazła się znów obecnie na porządku dziennym publicystyki i nowelistyki.

Zrozumienie doniosłości t. zw. „kwestii włościańskiej“ nie jest bynajmniej wynalazkiem współczesnym. Wyłączność rycerstwa potępiali słynni statysci i kaznodzieje dawno ubiegłych wieków, a od czasów „Naczelnika w sukmanie“ wracano bardzo często do tej ważnej sprawy. Taki chorąży Jeż, marzący o spółkach rolniczych, nie urodził się tylko w głowie autora. W początkach bieżącego stulecia, a następnie około r. 1840-go miał on dużo wzorów z ciałem i krwią. Wszyscy znakomitsi np. wielkopolanie, pracujący w świetnej dobie swojej dzielnicy, przyznawali się jawnie do zasad demokratycznych, aczkolwiek szli z rodów senatorskich. Chłopem nie gardzili ani Mielżyński, Maciej i Seweryn, ani Szczaniecy, Potworowski, Mikorski Józef i Mycielski Józef.

I w beletrystyce polskiej nie wystąpił pierwszy Teodor Tomasz Jeż jako obrońca chaty. Wszakże wplótł Józef Ignacy Kraszewski już w r. 1843-m w obrazie szlacheckie („Latarnia czarnoksiężka“) owego Sawkę, za którym poszli niebawem różni Ostapowie i t. p.

Położenie włościan zaprzętało mnóstwo serc, i niejedną niepokoiło głowę. Szukano gorliwie drogi wyjścia, lecz wypadki polityczne rozerwały zawsze, co skąpe chwile pokoju, wytchnienia nawiązały.

Zwłaszcza przed rokiem 1850-tym rozprawiano wiele w tym kierunku. Zahuczały jednak burze rewolucyjne równocześnie na kilku punktach Europy (r. 1848 my) i rozwiały nadzieje „demokratyczne“.

Jeż odczuł doniosłość zatarcia różnic między dworem a chatą już w samych początkach swej działalności autor-skiej. Nie na innem bowiem tle osnuł swego „Wasyla Hołuba“ i „Handzię Zabornicką“. Wszystko jednak, co myślał w tym względzie, zawarł w streszczonych powyżej trzech powieściach, obejmujących dzieje czterech jego imienników i krewnych, jak poucza kilkakrotnie wśród opowiadania.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Listy z Galicyi.

XIV.

W miesiącu ubiegłym nie wysłałem zwykłego listu ponieważ alarmy wojenne były wtedy tak gwałtowne, że zdawało się, iż lada dzień da się słyszeć szcęk broni; w czasach więc tak gorących trudno było zajmować się pracami pokojowymi i pisać o działaniu naszej prowincyi na polu ekonomiczno-społecznym. Na szczęście, alarmy ucichły, ale w ślad za niemi przyszła znów wiadomość niezmiernie dla nas bolesna o śmierci J. I. Kraszewskiego. Spodziewaliśmy się jej wszyscy oddawna, a jednak jak nas dotknęła! Żal po jego stracie jest w Galicyi nieklamany; za przykładem Lwowa i Krakowa, wszystkie miasta i miasteczka prowincjonalne urządzają nabożeństwa żałobne, a sta-

ry nasz gród podwawelski przygotowuje mu pogrzeb wspinały. Bo też niepospolity ten człowiek był prawdziwym mocarzem myśli, wiedzy, pracy i talentu, a luki, jaką po sobie zostawił, nikt nie zapełni! Spocznie więc między zasłużonymi na Skałce, obok Długosza, Pola, Szujskiego i Siemieńskiego, a ci, co kiedyś zatrzymać się będą przed jego trumną, powiedzą, że zawiera ona szczątki olbrzyma, który na całym obszarze naszych ziem, był dotąd najbar-dziej pracowitym i wytrwałym. O! gdyby młodzi chcieli wstąpić w jego ślady!

Skoro mówię o nieboszczykach, muszę wspomnieć, że właśnie gdy te słowa piszę, Lwów odprowadza na miejsce wiecznego spoczynku, ostatniego swego prezydenta, Wacława Dąbrowskiego, który w rocznikach tego miasta piękną kartę pozostawił. Nieboszczyk był mieszczaninem z urodzenia, przekoń i z zawodu, człowiekiem pracowitym, oszczędnym i niepokalanie uczciwym, jednym z tych, których obysmy w naszych miastach mieli jak najwięcej! Chociaż nie był orłem i wiedzą nie jasniał, umiał jednak wzorowo prowadzić gospodarkę miejską, co nie należy do rzeczy zbyt łatwych, jeżeli się zważy, że dochody Lwowa wynoszą blisko 1,200,000 guldenów rocznie.

Potrzeba było także niezmiernie wielkiego taktu, aby w korbach trzymać Radę złożoną ze stu członków, w której zasiadają polacy, rusini, żydzi, niemcy i ormianie — Lwów bowiem, pomimo zmiany stosunków, pozostał pod wielu względami Lwowem dawnym, stojącym na rozdrożu, między Wschodem a Zachodem, w którym, na niewielkiej stosunkowo przestrzeni, żyją obok siebie najrozmaitsze rasy i narodowości. S. p. Dąbrowski umiał je godzić i być bezstronnym, i to mu tak wielką zjednało sympatyę, że dziś płaczą po nim wszyscy, jak po ojcu.

Pogrzebu, jak jego, Lwów od ćwierci wieku nie widział. Było najmniej 50,000 uczestników. Ostatni taki pogrzeb wyprawiono w roku 1861 s. p. Smolkowej żonie dzisiejszego prezydenta austriackiej Rady państwa; teraz również wspaniałym uczczono zwłoki Wacława Dąbrowskiego. Z różnych miast pojeżdżały się deputacje, między innymi przybył także prezydent Krakowa, dr. Szlachetkowski, mów było kilka, a wieńców bez liku. Okazuje się z tego, że niekoniecznie potrzeba być dzieckiem szczęścia, aby zasłużyć sobie na współczucie i uznanie u potomnych. Dąbrowski był skromnym mieszczaninem, a jednak jak zgodnie stanęli wszyscy do apelu, aby oddać cześć jego pamięci! Niech mu też lekka będzie ta ziemia, którą za życia tak kochał!

Teraz, po jego zgonie, zaczną się znów starania o krzesło prezydyalne w Radzie miejskiej, które prócz władzy i znaczenia, przynosi także 10,000 guldenów rocznie, piękny apartament w ratuszu i ekipaż utrzymywany kosztem miasta. O ile się zdaje, współubiegających będzie tylko dwóch, p. p. Mochnacki i Gryziecki. Pierwszy jest urzędnikiem Wydziału krajowego, drugi profesorem lwowskiego uniwersytetu. Wybór między nimi będzie bardzo trudny, gdyż obaj są jednakowo zdolni, pracowici i uczciwi. Którykolwiek z nich jednak zostanie prezydentem, należy się spodziewać, że wstąpi on w ślady swego poprzednika, który jak z jednej strony nie żałował funduszów na szkoły, tak znów z drugiej — dokładał jak największych starań, aby Lwów wyglądał czysto i okazale. Jego zasługą było, między innymi, pokrycie Pełtwi. Cuchnąca ta rzeczulka przepływa przez sam środek miasta i w letnich miesiącach zatruwa jego atmosferę, ponieważ w niej mają ujście wszystkie kanały. W ciągu roku ubiegłego, zasklepiono ją w jednej połowie, w tym zaś roku ma to samo stać się z drugą połową. Gdy to nastąpi, Lwów będzie całkiem innym miastem, bo zdrowszem i przyjemniejszym niż dotychczas. — I czas był najwyższy, aby Pełtew zasklepić, gdyż w ciągu ostatniego dwudziestolecia miasto dźwigało się niesłychanie, a tylko o niej jednej zapomniano.

Kto Lwów oglądał naprzykład w roku 1865 po raz ostatni, a dziśby do niego przyjechał, pewnieby go nie poznał. Powstały nowe ulice, całe nawet dzielnice, a takie gmachy monumentalne, jak Sejm, Politechnika i Namiestnictwo, są jego prawdziwą ozdobą. Teraz przybędą: Poczta, gmach dla Dyrekcji kolei państwowych, Kasa oszczędności i Muzeum miejskie, wkrótce zaś Rada gminna będzie musiała zająć się postawieniem teatru, ponieważ fundacya Skarb-kowska nie chce nadal ani słyszeć o teatrze. Wspomniałem o Muzeum miejskiem. Muszę o niem słów kilka napisać, bo nie jest to błahostka. Od roku 1877 poczynawszy, to jest od pamiętnej lwowskiej wystawy, istnieje przy lwowskiem Muzeum przemysłowem szkoła rysunków i modelowania, którą następnie rząd uzupełnił kursem snycerstwa w połą-

czeniu z nauką dwóch rzemiosł: tokarstwa i stolarstwa. Wówczas otrzymała ona nazwę „Szkoły dla przemysłu artystycznego“, poczem rząd przyobiecał, że niebawem otworzy więcej specjalnych kursów, z których jedne będą zostawały w związku z przemysłowością budowniczą, drugie z przemysłem artystycznym. Rząd, dając to przyrzeczenie, postawił jednak równocześnie za warunek, aby miasto dla tak przekształconego Muzeum postawiło gmach osobny i takowy własnym kosztem nietylko opalało, lecz także oświetlało. Miasto byłoby to natychmiast z radością uczyniło, lecz z kąd wziąć pieniędzy? A potrzebaby ich niemało, gdyż taki gmach kosztowałby najmniej 500,000 guldenów. W tem ciężkiem utrapieniu przyszła miastu w pomoc galicyjska Kasa oszczędności. Piękna ta instytucya, rok rocznie, po obliczeniu czystych zysków, przeznaczą znaczną ich część na rozmaite cele humanitarne i dobroczynne. W ostatnich latach odkładała ona z nich osobno pewną kwotę, aby z czasem utworzyć jaki większy zakład publiczny. W ten sposób zebrało się dotąd 400,000 guldenów, i za te pieniądze Kasa oszczędności postanowiła miastu Muzeum postawić. Tak więc, Lwów otrzyma nowy i wielce korzystny gmach monumentalny, który tem większą sprawi mu przyjemność, że go nic nie będzie kosztował.

W świecie handlowym stagnacya niesłychana. Przed dwoma miesiącami, gdy się na wojnę zanosilo, ceny zboża znacznie u nas podskoczyły, rząd bowiem robił wtedy zakupy dla armii, teraz jednak znów spadły, bo rząd nic więcej nie kupuje w Galicyi. W Wiedniu tak dobrych mamy przyjaciół, że nawet siano, którego produkujemy więcej niż każda inna prowincya austriacka, dla kawaleryi u nas stojącej, sprowadzają bądź ze Styryi, bądź z Węgier. Niech wszyscy zarabiają, tylko nie polacy. Dla niemców i żydów węgierskich pieniądze — dla polaków zapewnienia o miłości idealnej. Pod pióro nasunęli mi się żydzi. Jakże o nich teraz nie wspomnieć, skoro w ubiegłych dwóch miesiącach dali się nam we znaki w sposób jeszcze dotąd niebywały.

Oto, gdy alarmy wojenne zaniepokoiły u nas opinię powszechną, kochani nasi bracia mojżeszowego wyznania rozpuścili we Lwowie pogłoskę, że Kasa oszczędności jest zagrożona, ponieważ nieprzyjaciel, w razie zajęcia miasta, nieomieszka z niej zabrać wszystkich pieniędzy. Kto więc nie chce swej wkładki utracić, niech ją natychmiast odbiera. Rzemieślnicy, przekupnie, wyrobnicy, śludzy, usłyszawszy to, rzucili się tłumnie do Kasy oszczędności, domagając się zwrotu pieniędzy, lecz że ścisk był wielki a urzędnicy nie mogli, dla braku czasu, wszystkim żądaniom natychmiast zadosyć uczynić, więc bardzo wielu odstępowało swoje książeczki usługom żydkom, którzy się po ulicy uwijali. Żyd jednak nie głupi. Książeczkę kupił i zwrócił kapitał, ale procentów nie wypłacił. Za chwilę szedł sam do Kasy i odbierał kapitał z procentami. Ile na tej operacyi żydowstwo we Lwowie zarobiło, nie da się nawet obliczyć. W każdym razie, ich zyski musiały być niepospolite, jeżeli się zważy, że w ciągu kilku dni, w drobnych wkładkach, wycofano przeszło milion guldenów.

Żeby listu niniejszego zbytecznie nie przedłużać, odkładam do przyszłego ciekawe szczegóły o walce ekonomicznej, jaką ludność chrześcijańska toczy u nas z żydowską, a na zakończenie powiem wam jeszcze, że po bardzo pięknym Marcu, w pierwszych dniach Kwietniu zawitała do nas formalna zima ze śniegiem i mrozami. *Rolarz.*

NA POSTERUNKU.

Com spotkał w jednym z organów pana Lewenthala? — Zachowawczość i cynizm. — Wszystko w jednym sklepie, czyli racye finansowo-handlowe. — Moje nieśmiałe zapytanie na temat tolerancyi. — Dwulicowy Janus. — Mistrz od „Prawdy“ o konfesjonalne i restytucyi. — Najprostrze rzeczy. — Oni nie winni! — Czym pojął mistrza? — Kwestya markowania wyrobów rzemieślniczych i opozycya. — Dlaczego p. Kirsztot był w porządku..

W jednym z pism pana Lewenthala, wydawcy konserwatywno-katolickich „Kłosów“, spotykam wyszydzenie naszego święconego na sposób extra-fein-postępowy. „Jesteśmy — prawi nam cyny kronikarz p. Lewenthala — w przededniu wielkiej a g a p y, która się nazywa od wieków staropolskiem święconem“.

I dalejże wysmiewać „święcone szynki i kielbasy“ — dalejże dowodzić, że „dla maluczkich“ ta „święcona kielbasa“ jest „jednym z artykułów w i a r y“, że „tę kielbasę, ten kawałek mięsa, dozwolonem jest im pono spożywać raz tylko w ciągu roku, dla u c z z e n i a największego ze swiąt w katolickim świecie“.

Wolno jest p. Lewenthalowi drukować w swych organach co uzna za właściwe; wolno mu, co zresztą jest już rzeczą znaną, w „Kłosach“ być zachowawcą a w „Tygodniku romansów“ cynikiem i bezwyznaniowcem. Toż przecie znanemu na całą Franciszkańską, panu „kupcowi“ Gelbfiszowi wolno mieć razem w swoim sklepie perfumy, czosnek, pieprz, owoce i śledzie; dlaczegoż więc i „nasz znany wydawca“ miałby być gorszym od tegoż pana „kupca“?

Ala uwzględniając te kupiecko-finansowe racje, wolno też i mnie może zapytać: co szanownych panów wydawców starozakonnych i ich „pisarzy wolnomysłnych“ obchodzić mogą nasze tradycje, nasze obrządki religijne, i co ich, jak w tym razie, obchodzić może nasze, polskie święcone? Bo, dobry panie Salomonie, pomówmy tylko rozsądnie i bezstronnie.

Cobyś też pan dobrodziej powiedział, gdyby, dajmy na to, któreś z pism polskich, chrześcijańskich i szczerze zachowawczych poczęło wyszydzać zwyczaje, obrządki izraelskie? Cobyś pan powiedział, gdyby pismo takie wzięło sobie za przedmiot drwin i żartów, ot choćby to naprzykład, że żydzi, obchodząc święto „paschy“ czyli pamiątkę opuszczenia Egiptu, na cały tydzień, ostentacyjnie i z wielkimi ceremoniami, wyrzucają chleb z domów, a po skończeniu świąt, z wielkimi przeprosinami, wprowadzają go znowu? Cobyście powiedzieli panowie, gdyby pismo chrześcijańskie pozwoliło sobie wysmiewać prawdziwie chińską ceremonię wyrabiania macy, lub też ten fakt naprzykład, że żydzi, podczas tychże świąt, nietylko urządzają sobie na swój sposób, „agapy“, że nietylko „uczują“, lecz i siedzą przy ucztach wedle ściśle określonego ceremoniału, i że wtedy najbiedniejszy Moszek udaje króla, a jego Sura—królowę? Cobyście powiedzieli, cobyście odpowiedzieli raczej na szyderstwo, wysmiewanie podobne? To gwałt! to dzikość! to *nietolerancja!* — krzyknęłyby, jak jedno, wszystkie pisma liberalno-postępowo-wolnomysłno-żydowskie, a jednak przeznaczone do organa „swobody myśli“, „tolerancji“ i „swobody przekonania“, gdy idzie o odwieczne obyczaje chrześcijańskie i polskie — nie krepują się wcale.

Nie myślcie jednak, moi dobrzy panowie, abym wam chciał odplącać pięknem za nadobne. Owszem, będę dyskretnym, wstrzeźliwym, i nawet nie zdradzę p. Lewenthala przed jego „współwiercami“. Nie będę sztychował nawet z tego, że podczas tychże samych „świąt w świecie katolickim“, o których pozwała pisać w „swych organach“ w sposób wysoce — wolnomysłny, zachowuje on się niby drugi dwulicowy Janus: jednym półgębkiem, jako kurator szpitala starozakonnego i członek „komitetu synagogałnego“, spożywa macę — podczas gdy półgębkiem drugim, jako znów wydawca zachowawczy „Kłosów“, zjada „trefne święcone“ (1), na które, jak wiadomo, ze staropolskim uprzejmościem zaprasza całe swoje, konserwatywne i bezwyznaniowe, dziennikarskie — rycerstwo.

Nie będę się, mówię, nawet z tego naśmiewał, choć śmieje się pocichu cały nasz światek warszawsko-dziennikarski. A, co mi tam do waszych — obyczajów!

Nie rozumiem też dlaczego i mistrzowi od „Prawdy“ nie dają spać widocznie nasze obrządki religijne — dlaczego tak się nimi kłopotuje? I w ostatnim numerze mistrz ten, uderzając na „Przegląd Katolicki“ w sposób praktykowany przez młodzież — nalewkowską, tak nam opowiada o... konfesjonale:

„Dzienniki—mówi—zapisujące starannie każdy objaw restytucji, mają taką minę, jak gdyby dumnie pokazywały światu: widzicie co sprawia konfesjonał! A mnie go żal serdecznie. Bo pięć—no, bądźmy szczerzy—dziesięć restytucji na rok, wobec tysięcy kradzieży—to plon pognębiający, to dowód bezsilności konfesjonału“.

„Niech więc — prawi mistrz dalej, w końcu swych przeznaczone wywodów — niech „Przegląd Katolicki“ nie beczy (co za wykintność u c z o n e g o języka!) jak szczypane niemowlę, niechaj nie patrzy na mnie wystraszonemu wzrokiem, ale zastanowi się nad kwestją: czemu w Warszawie konfesjonał tak mało osiąga restytucji?“

No i patrzcież państwo, że też ci ludzie o „wielkich mózgach pozytywnych“ nie rozumieją najczęściej najprostszch, najbardziej pozytywnych rzeczy. Dlaczego na tysiące kradzieży tak mało restytucji? — pyta z cynizmem Büchnerzka czcigodny Poseł Prawdy — a przecież fakta — i fakta p o z y t y w n e — winnyby go pouczyć, że najwięksi złodzieje nie należą wcale do „wsteczników“ i że jako tacy nie uznają oni aktu spowiedzi. Niedaleko szukając, i taki Kiersz naprzykład, był przecież całą gębą wyznawcą „wolnej myśli“. Jakże więc miał on przystąpić do konfesjonału, wyznać swoje łotrówstwa i zwrócić okradzionym wdowom ich osta-

tni grosz, jeżeli wydawał pismo, które drwi z „przesądów“ podobnych i bezczęści, zohydza duchowieństwo nie gorzej od samej nawet — „Prawdy“? Kiersz byłby wówczas niekonsekwentnym, a takim, jako działał cz potępiający w swych mowach i odezwach publicznych (czytaj aforyzm pana Władysława Kiersza w prospekcie szeszciorocznym „Głosu“) wszelkie „p r a d y w s t e c z n e“, najwidoczniej być nie chciał.

Zresztą, wszakże ci złodzieje, z powodu których mistrz od „Prawdy“ ma pretensję aż do konfesjonału, według najnowszej teorii determinizmu, są to ludzie niewinni, albo raczej winni są tyle, „ile winną jest gałąź drzewa spadająca na głowę przechodnia“. Tak, bo przecież uczą wyraźnie w swych traktatach pewni mistrze i prorocy postępu, których nasz mistrz od „Prawdy“ powinienby znać dobrze...

Gdzież tu więc, pytam teraz, logika w całym tem wystąpieniu? Lecz może ja, „zacofaniec“ i „nieuk“, źle pojąłem mistrza? — może chciał on ogłosić światu jeden więcej tryumf „nowego ducha czasu“; może chciał zawołać: górą nasze hasła! — hasła „walki o byt“ i „moralności niezależnej“, bo oto na tysiące złodziei — tak mało — tylko „pięć restytucji“. Ha, jeżeli tę miał myśl, w najnowszej, uczonej swej rozprawie o konfesjonale, w takim razie trzeba oddać mu słusność: był w zupełnym porządku...

W zupełnym też porządku, na ostatnim posiedzeniu w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu, był pan Józef Kirsztot z świeżym przydomkiem — „Prawnickiego“. Ktoś wystąpił z wnioskiem markowania wyrobów rzemieślniczych, wychodzących z Warszawy na dalsze rynki zbytu. Jakim mianowicie ma być cel onego markowania, dowiecie się, czytelnicy szanowni, z artykułów wstępnych; ja więc wspomnę tylko, iż idzie tu nareszcie o zaprowadzenie jakiegokolwiek kontroli nad rozwielnioną do możliwych już granic i rujnącą byt rzemiosła polskiego, izraelską tandetą. Pan Kirsztot też zrozumiał odrazu co się święci i choć we wniosku nie było nawet wzmianki o żydach, wystąpił z opozycją — wystąpił zaś z obawy, iżby ludzkość w ogóle, a rynki Cesarstwa w szczególności, nie były pozbawione t a n i c h, bardzo t a n i c h wyrobów, czyli, wyrażając się ściślej, iżby nie były pozbawione butów z p a p i e r o w e m i podeśzwami, które, jak wiadomo, nasi „polacy moźszeszowi“ tak znakomicie i w nigdy niewyczerpanej obfitości produkować umieją. Pan Kirsztot przecież, powtarzam to wyraźnie, był w zupełnym porządku — był w porządku podwójnie: najpierw jako żyd, powtóre jako obywatel. Jako żyd wystąpił on w obronie interesów tandetnych — swych współbraci najbliższych, a jako o b y w a t e l zaprotestował z góry przeciw środkowi mogącemu rzucić „ziarno niezgody“ wśród „dzieci jednej ziemi“. Boć wiadomo wszem wobec i każdemu z osobna, że u nas nie ten jest dobrym obywatelem, kto szwindel, szachrajstwo i wszelką w tym rodzaju grabież pragnie tępić, ukrócać i tamować jej drogę, ale ten przede wszystkim, kto w imię „assymilacji“, w imię „zgody, jedności i braterstwa“, gotów jest nawet szwindlu, czyli, jak w tym wypadku, nawet nędznej tandety własną piersią — bronić.

Tak, proszę państwa, u nas taka jest moda; — to jest prawdziwy patryotyzm i — obywatelskoszcz...

Kamienny.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Dr. Laughin i Dr. Fusco czyli niema chorób ani śmierci, melodramat we fraku. — Specjalność wiedeńska. — Specjalność warszawska (w nawiasie). — Najświeższy samobójca wiedeński, uratowany dzięki niepodobnemu do wymówienia w dobrem towarzystwie ubraniu. — Bankructwo głodomorów. — Cywilizacja wódeczana. — Improwizacja łacińska autora kroniki. — Usposobienie poświęczone światu politycznego. — Rozchwianie się trójcesarskiego przymierza. — Wątpliwości traktatu z Włochami. — Lessepoda. — Repressya w Alzacji i Lotaryngii. — Boulanger. — „Nowa Presse“ wiedeńska.

Nie będziemy już umierali!

Dr. Laughin leczy niechybnie na suchoty, nawet w ostatnim stopniu; choćby ci, miły czytelniku już dziewięć dziesiątych części płuc brakowało (o slicznej Czytelniczce nawet pomyśleć nic podobnego nie chcę), nie frasuj się: Dr. Laughin wstrzyknie ci trochę kwasu węglowego, i w tej chwili poczujesz jak ci coś nagle piers wypełnia: to nowe płuca tak ci na gwałt rosną, iż kto wie czy nie będziesz musiał zażywać innych medykamentów na powstrzymanie tego ich rozmachu.

To jeszcze nic; ale choćbyś nie miał pod czaszką ani

odrobiny mózgu, albo też mózg do góry nogami od urodzenia przewrócony, — i choćbyś równie od urodzenia całkiem był pozbawiony oczu, to Dr. Fusco uczyni cię mądrym niby Salomon, i wzrok ci przywróci, a raczej stworzy, za pomocą... hipnotyzmu. Każę ci się przez dziesięć minut wpatrywać w soczewkę, potem szach, mach! już śpisz. I najdalej w dwa tygodnie oczy ci wyrastają, i z waryata lub kompletnego idioty robisz się geniuszem... Dalibóg warto, nawet mając mózg, kazać go sobie wyjąć i oczy wydłubać, żeby przejść przez taką kurację.

Gdzież znajdzie za lat kilka medycyna, jeżeli dziś już tworzenie płuc, oczu i mózgu jest dla niej taką drobnostką, jak nie przymierzając zjedzenie kromki chleba z masłem, lub polknięcie, dajmy na to ostrygi? ... Szanowna ludzkości! czyż mogłem ci weselszą nowinę dziś przynieść? ...

Tylko na końcu mała jeszcze uwaga: Dr. Laughin jest... w Ameryce a Dr. Fusco... we Włoszech, w krajach par excellence humbugu i szarlatanizmu... Może więc z radością lepiej będzie wstrzymać się aż do dalszego potwierdzenia.

Każdy kraj zresztą, każda niemal miejscowość w każdym kraju ma swoją specjalność. Tak np. Warszawa jest specjalistką od... piękności Warszawianek, a Wiedeń specjalistą od... samobójstw. Nie wiem czemu to przypisać, ale to pewna, że w statystyce samobójczej stolica Austrii pokazuje odgrywa rolę i ledwie że nigdzie na całej kuli ziemskiej nie pojawia się tyle zamachów na własne życie, co nad modrym Dunajem. Nie dość na tem, ale oprócz ilości, Wiedeń celuje i jakością, a ekscentryczność samobójstw wiedeńskich przechodzi niekiedy wszelką miarę. Teraz np. targnął się na własne życie jakiś malec dziewięcioletni. Ojciec poprostu obił mu podobno skórę, a chłopak wyrwawszy się, prosto w okno i bęc! z trzeciego piętra na bruk; no—i nic mu się nie stało. Uratowało go prawdopodobnie podczas operacji w pewien nieład wprowadzone odzienie, które w locie zaczęło się na haku... Przyznajcie, że nawet los ratujący samobójców wiedeńskich bywa ekscentryczny.

Strach, jak ten świat prędko się wszystkim nasycy, jak prędko wszystko się na nim zużywa, powszednieje. Niedawno temu, zdaje się że kilka dni zaledwie, o niczem nie było mowy tylko o — głodomorach. Tanner, Succi, Merlati e tutti quanti byli bohaterami dnia, zwiastunami swobodnej, bo drwiącej z głodu przyszłości. Dziś głodowe próby przestały budzić ogólne zajęcie, a na głodomorów przychodzą chwile w których z wytrzymałości swojej na głód praktycznie korzystać będą musieli. Succi jest podobno w nędzy, wprawdzie pierwsze jego występy były bardzo popłatne; w krótkim przeciągu czasu na pokazywaniu się publiczności głodnej naówczas głodnych wrażeń zarobił 45,000 franków; ale to wszystko jak prędko przyszło tak prędkiej jeszcze poszło. Biedak myślał, że głód żołądka będzie mu ciągle tuczył kieszeń i w antraktach głodowych przedstawień starał się odzyskać czas stracony na dawaniu widowiska. Tymczasem Fortuna, która zrazu była czułą matką dla głodomorów, obróciła się nagle w macochę. Succi zbankrutował i naprawdę dzisiaj nie ma co jeść; drugi, Cetti podobno, zbankrutował w inny sposób, bo ledwie 11 dni wytrzymał o głodzie w Berlinie. Obawiam się smutniejszego jeszcze losu dla zapowiedzianego głodomora warszawskiego; tylko mam nadzieję iż ten nasz zreflektuje się jeszcze na czas, że najdłuższym postem, na jaki człowiek szanujący siebie pozwolić sobie może, jest wstrzymanie się od wszelkich pokarmów przez czas rozdzielający śniadanie u Stępka, kończące się około 9-tej wieczorem, od skromnej wieszery u Boqueta, poczynającej się około 11 w nocy a kończącej częstokroć — śniadaniem u Stępka.

Europa forsowana głodem, lecząca się na obżarstwo, nie waha się wśród czarnej braci afrykańskiej szepić nie mniej forsownie bliźniej obżarstwu cnoty pijaństwa. Cały zysk, jaki barbarzyńskie plemiona Afryki na cywilizacyjnej okupacji europejskiej odniosły, polega na—wódce Niemcy i Anglii tak je rozpoili, że dzieci małe, za usługi jakie spełnić są w stanie, nie żądają niczego więcej prócz wódki. Wódka stała się tam daleko lepszym pośrednikiem zamiany niż pieniądź, bo murzyn za wódkę odda wszystko, nawet to, czegoby trzeźwy za pieniądze nigdy nie sprzedał. Są żółciowe charaktery, które w tej metodzie cywilizacyjnej upatrywać zapewne będą pewne niedostatki na punkcie moralności; ale choćby i tak było, cóż to wszystko znaczy wobec faktu, że metoda ta dostarcza sposobności kilku (bo zaledwie kilku) firmom niemieckim i angielskim do robienia milionów. Wszak wiadomo, że dziś uznana (?) powszechnie została bardzo prosta zasada: niech zginie choćby kilkanaście narodów, byle jeden Niemiec zbożycił się lub upał.

Gdybym się nie bał posadzenia o zbytęzną pretensję do erudycji zaimprovizowałbym à propos tego wiersz łaciński:

„Pereant gentes,
„Fiant Germani opulentes.“

Z całą skromnością, właściwą prawdziwym talentom, przyznaję, że to moja, moja własna improwizacja; żałuję mocno tych, którzy nie umiejąc ekspedyte po łacinie, piękności tego utworu jak należy odczuć nie zdołają, — nie mając jednak nic innego, lepszego, tę improwizację zmuszony jestem ofiarować Wam na... te ciężkie — czasy...

Czas świąteczny, przyniósłszy chwilową beczczynność, nie przyniósł światu politycznemu uspokojenia. Po świątach zarówno jak przed świątami, położenie jest naprężone, niepokojące; optymiści pocieszają się przynajmniej tem, że wojna nie wybuchnie prawdopodobnie dziś ani jutro, — ale jedyna to i bardzo wątpliwa pociecha.

Wszyscy zgadzają się na to, że trójcesarskie przy mierze faktycznie istnieć przestało, w skutek postawy Rosyi, która mimo usilnych zabiegów księcia Bismarka, zupełnej swobody działania zręć się nie chciała. Dla Niemiec więc, nie przestała istnieć alternatywa wojny na dwóch frontach jednocześnie,—a niepewność traktatu z Włochami, mianowicie od czasu upadku i dymisji hr. Robilanta a wstąpienia do gabinetu Crispiego, jest jedną czarną plamą więcej na horyzoncie polityki niemieckiej.

Lessepsyada nie miała powodzenia. Niezrozumiała dotąd dla ogółu wycieczka króla inżynierów do Berlina, nie pociągnęła za sobą żadnych następstw; wyrazy jego sympaty dla Niemiec nie osiągnęły żadnego znaczenia, jako objaw uczuć całkiem prywatnych, indywidualnych. Tymczasem coraz większe przesładowanie żywiołu francuzkiego w Alzacji i Lotaryngii drażni francuzów którzy w prowincjach tych tylko za specjalnem pozwoleniem przebywać mogą.

Boulangier zamysła fortyfikować jeszcze Dijon i Epernay, uważając to za konieczne dopełnienie linii obronnej od strony Niemiec.

Jednem słowem, zupełnie jest tak, jak mówi „Nowa Presse“ wiedeńska, że „Europa stała się wielkim obozem, którego hałas zagłusza pokojowe upewnienia rządzących i mężów stanu“.

E. Jerzyńska.

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

Spuścizna literacka po J. I. Kraszewskim. Według doniesienia dzienników, między opieczetowanymi rękopismami, jakie pozostały po znakomitym pisarzu, znajduje się wielki konwolut obejmujący notaty do „Historii oświaty w Polsce“. Kraszewski zbieraniem materyałów do tego dzieła zajmował się oddawna i zamierzał je opracować bardzo obszernie. Natomiast drugie dzieło p. t. „Historia teatru w Polsce“ jest już podobno wykonanem zupełnie. Nadto przygotowane są do druku „Listy Brühla“, dzieło niezmiernie ważne dla historyka, oraz „Listy Ignacego Krasickiego“.

Z powieści, znajdują się w rękopismach cztery zupełnie wykończone, a mianowicie: „Wysokie progi“, tom jeden, napisany w roku 1883; „Przygoda Stacha“, powieść również jednotomowa, napisana w więzieniu w Magdeburgu; „Nora“, dwutomowa powieść współczesna, z roku 1885 i dwutomowa powieść historyczna bez tytułu, napisana również w więzieniu. Powieści piątej brak jest 60-ciu kartek początkowych. Wreszcie, znajduje się rękopis ciekawego wielce dzieła, napisanego w języku francuzkim, p. t. „Lettres sur Allemagne“. Listy te mają obejmować krytykę obecnego ustroju politycznego i stosunków społecznych w Niemczech.

Arlekinada nad — grobem. Jeszcze zwłoki s. p. J. I. Kraszewskiego nie spoczęły w przynależnym im grobie do brzeza a s ł u z o n y c h, a już jesteśmy świadkami nad wyraz przykrej arlekinady i niezgody stronnicej. „Kuryer Warszawski“, podając spis redakcyj różnych pism warszawskich, które przyjęły udział w kosztach urządzenia nabożeństwa za duszę s. p. Kraszewskiego w kościele Ś-go Krzyża — nie wymienił niektórych, a mianowicie „Przeglądu Tygodniowego“, „Prawdy“ i „Gazety Rolniczej“. Co się tyczy „Przeglądu Tygodniowego“, ten przynajmniej zapowiedział w swoich szpaltach odrazu, że jako postępowiec, do żadnych — rozumie się — nabożeństw, czyli do żadnych aktów spleśniałego wstecznicstwa należeć nie chce i nie będzie; co zaś do dwóch pism ostatnich, „Kuryer Warszawski“, w skutek widocznie zapytań i interpelacyj, dał w kilka dni,

w najlepszej, rzecz prosta, intencji — dodatkowe objaśnienie, że pisma te w spisie pierwotnym opuszczone zostały przez prostą nieuwagę. Zaledwie jednak „Kuryer Warszawski“ to uczynił, aliści „Prawda“, która teraz dopiero złożyła (w... bezwyznaniowej swojej modlitwie) bezwzględny hołd Kraszewskiemu — chociaż podczas procesu lipskiego nie szczędziła złamanemu starcowi ostrych admonicji i żółciowych docinków — aliści, mówimy, „Prawda“ (Nr. 15, Kronika bieżąca), prostując ową uzupełniającą wiadomość „Kuryera“, wypiera się — podobnie jak jej rodzic: „Przegląd“ — wszelkiej intencji przyjęcia udziału w nabożeństwie i oświadcza że uczestniczyć mogłaby jedynie w jakimś „nabożeństwie społecznem“. (II)

Nikt zapewne p. p. redaktorów „Prawdy“ i „Przeglądu Tygodniowego“ nie myślał brać za... poły i ciągnąć do kościoła, boć ofiara taka i Panu Bogu miłaby być nie mogła, ale pytamy wszystkich ludzi rozsądnych, bez względu na ich kierunek i wyznanie wiary, czy godziło się tę gwałtowną antireligijnosć manifestować publicznie — w chwili, w której dziennikarstwo warszawskie zapragnęło w sposób uroczysty i jednomyślny uczcić pamięć jednego z najznakomitszych i najbardziej zasłużonych pisarzy polskich? Zdaje nam się, iż tej marnej i przedziwnie małodusznej arlekinady panów postępowiczów nad świeżym grobem Kraszewskiego, nawet najwięksi ich adherenci nie wezmą im za dobre — ha, chyba że są równie jak oni — wielcy, szlachetni — i rozumni...

Pogrzeb Kraszewskiego. Według doniesienia dzienników tutejszych, pogrzeb Kraszewskiego w Krakowie, w kościele na Skalce, odbędzie się nieodwołalnie w dniu 18 b. m., t. j. w przyszły Poniedziałek. Uroczystość ma się odbyć według uchwalonego już ostatecznie przez Komitet pogrzebowy program. Kondukt żałobny, poprzedzany przez liczne korporacje i reprezentacje, poprowadzi, z kościoła O. O. Pijarów na Skalkę, J. E. ks. Biskup Dunajewski, w otoczeniu kapituły oraz liczne duchowieństwo świeckiego i zakonnego. Przy wyprowadzeniu ciała, przemówi w imieniu Akademii umiejętności przez ks. Majer; w kościele Panny Maryi, gdzie odprawionem będzie uroczyste nabożeństwo, wygłosi mowę ks. Chotkowski, a przed wniesieniem de krypty przemówi prezydent m. Krakowa, dr. Szlachetowski. Podczas całego pochodu, odzywać się będzie z katedry na Wawelu dzwon Zygmunowski.

Rozstrzygnięcie konkursu. W dniu 7 b. m. odbyło się specjalne posiedzenie, pod przewodnictwem J. E. Arcybiskupa ks. Popiela, na którym, po dokładnem i szczegółowem rozpatrzeniu wszystkich projektów, złożonych na konkurs budowy kościoła parzkiego, przystąpiono do głosowania, celem dopełnienia wyboru projektów, kwalifikujących się do nagród.

Rezultat konkursu okazał się następujący:

Pierwszą nagrodę, w ilości 500 rs., otrzymał pan Józef Dziekoński (projekt z winietą „Kościół Św. Anny w Wilnie“). Drugą nagrodę, w sumie 300 rs., przyznano p. Władysławowi Marcynie (projekt z godłem „Dary“). Trzecia wreszcie nagroda, w ilości 200 rs., przypadła w udziale p. Ignacemu Jórskiemu (projekt pod winietą „Kotwica czterozębna“).

Nowy sklep ziemian. W Skalbierz, staraniem i kosztem okolicznych obywateli wiejskich, otworzonym został świeżo skład towarów najniezbędniejszych w gospodarstwie domowym i rolnem. Nowemu przedsiębiorstwu i jego inicjatorom przesyłamy szczerze życzenie — w trywalskości, gdyż jest to najważniejszy warunek, wobec którego konkurencja żydowska, która na ten „handel szlachecki“ patrzy okiem bardzo niemilem — mimo całego nieprzebierania w środkach — stać się musi bezsilną.

Nowości wydawnicze. Wyszła świeżo z druku broszura p. t. „Wyrazy obce w sonetach krymskich Mickiewicza“ — przez Ludwika Radlińskiego. Jest to urywek z pracy niewydanej p. t. „Słownik etymologiczny języka polskiego“.

Studenci Instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej Aleksandryi wydali w przekładzie z francuzkiego dziełko Gustawa Heuze p. t. „Trzoda chlewna“. Książka zawiera w tekście 49 drzeworytów.

Sztuki plastyczne. Najnowszy obraz Matejki: „Zgon Zygmunta Augusta“ ma być wystawionym w salonie p. Krywulca.

Na wystawie lwowskiej ukazało się płótno H. Siemiradzkiego: „Rzymianka“.

Z teatru i muzyki. W teatrze Rozmaitości ma być przedstawioną oryginalną komedya p. Karola Jezierskiego p. t. „Dyana“.

Warszawska „Lutnia“ ogłasza konkurs, powołując do niego muzyków polskich. Tematem jest hasło — chór męzki bez akompaniamentu na czterowersz Mickiewicza:

O pieśni gminna! Ty arko przymierza
Między dawnymi i młodszymi laty,
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przedzę i swych ucuć kwiaty.

albo na czterowersz Kochanowskiego:

Lutnia wódz tańców i pieśni uczonych.
Lutnia — ochłoda myśli utrapionych;
Ta serca zmiękoży swym głosem przyjemnym
Bogom podziemnym.

Termin nadsyłania partytur wraz z pojedynczemi głosami oznaczonym został po dzień 15 Maja r. b. Utwory nie powinny przechodzić 24 taktów. Nagroda wynosić będzie 5 dukatów w złocie, a rękopisy nadsyłane być mają do księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie, z dopiskiem: „dla Lutni“.

Zmarli: Ś. p. Dr. Kazimierz Szulc, publicysta, historyk, archeolog i czynny członek Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, zmarł także w dniu 27 z. m.

Ś. p. Feliks Drohojewski, b. oficer b. wojsk polskich, długoletni profesor wojskowych szkół przygotowawczych francuzkich — zm. w Sévres.

Ś. p. K. W. Żółkiewski, młody i zdolny literat — zm. we Lwowie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Sz. ks. J. Szulborski w Janowie Sied. — Z księgarni otrzymaliśmy prenumeratę tylko za kwartał I-szy; obecnie opłaconą jest do 1 Lipca r. b.

P. W. Kow. w Warsz. — O małym tym Klerszu, mającym pretensję do „reprezentowania stanu rzemieślniczego“ pomówimy jeszcze; w tej chwili brak nam miejsca.

P. Karol Radzikowski, Kowel. — Przepraszamy najmocniej, lecz początek powieści byliśmy w możności dostarczyć tym tylko abonentom, którzy zaprenumerowali „Rolę“ od Nowego Roku. Początek ten bowiem mieścił się w numerach grudniowych z r. z.

P. Stanisław... W., subjekt handlowy w Warsz. Racja jest po stronie pańskiej; zapytanie owego żydka: „więc pan nie możesz mi służyć?“ i t. d., było wysoce niewłaściwem i pełnem tej, może jak w tym razie, mimowolnej nawet arogancji, którą oni jednak zawsze i wszędzie odznaczać się zwykli.

P. B. C. Bor., gub. Pod. — Towary kolonialne: „Kotecki“ (Bednarska Nr. 12, róg Sowiej); wina krymskie: „Kotecki i Szober“ (Leszno Nr. 14); towary galanteryjne: hurtowy skład „Braci Orszag“ (ulica Przejazd); perkaliki: skład „Gielżyńskiego“ (Marszałkowska Nr. 137); wyroby tabaczone: „Kołodziejski i S-ka“ (Nowy-Swiat Nr. 51). Wszystko to są firmy chrześcijańskie i zaopatrujące prowincjonalne sklepy polskie — przy możliwych ustępkach.

REKLAMY.

Wyjątek z „Abeille Médicale“.

Z wyjątkiem może jednego oleju rycynowego, lekarze zalecają słusznie najczęściej środki przeczyszczające o pierwiastku solnym. Historia tego rodzaju środków przeczyszczających nabrała w ostatnich czasach istotnego znaczenia wskutek używania Proszku de Rogé który, jak powiada Fonsagrive, posiadając własności skutecznie przeczyszczające, odznacza się obok tego i przyjemnym smakiem. Natychmiastowy skutek proszku de Rogé sprowadza hipersekrecyję, która powoduje wydzielanie płynu w ogromnej obfitości i stanowi prawdziwe wymycie żołądka.

Wszystkie inne środki przeczyszczające o pierwiastku solnym mogą być co prawda użyte w tym celu, niema jednakże skuteczniejszego i bardziej znośnego dla żołądka jak Poudre de Rogé. Akademia Medyczna w Paryżu oddała należyte uznanie temu doskonałemu środkowi, odznaczając go zaszczytną pochwałą.

(22) 1—1

Jest do sprzedania 100 korcy Łubinu niebieskiego, zdrowego, do siewu, po rs. 4 korzec na wagę, oraz Jęczmień 2 wagony pięknego po rs. 4 korzec, Żyta 2 wagony po rs. 5 korzec i 1000 korcy kartofli sypkich, smacznych posiadających 28% mączki po rs. 1 korzec w Korytnicy, z dostawą do stacji Chęciny Dr. Żel. Iwangr.-Dąbr. Na żądanie mogą być przesłane próbki. Adres: Kotakowski, p. Chęciny w Korytnicy.

(3—3)

OGŁOSZENIA.

Swiece z pszczelnego wosku, różnej wielkości, białe lub kolorowe, sprzedają po kop. 75, a żółte po kop. 70; — stearynowe zaś po kop. 27, kościelne i stołowe po kop. 23 za pełny funt, w partyach hurtowych, nie licząc za opakowanie i ekspedycyę do tutejszych banhofów. Opaki na zamianę przyjmują w połowie. Cenniki na żądanie wysyłam bezpłatnie.

Wosk i miód kupuję oraz sprzedaję po cenach bieżących. Swiece mojego wyrobu, dla odróżnienia od fałszowanych, wyciśnięty mają u dołu stempel firmy.

JAN WRÓBLEWSKI
Parowa Fabryka Świec Woskowych, Pieniżków i Czekolady,
w Warszawie, przy ulicy Kapitulnej Nr. 8—484.

Firma egzystuje od r. 1844. (3 3)

Koronki, Żaboty, Wstążki, Garniowania do Sukien, Woalki, Rękawiczki jedwabne, Kołnierzyki i Mankiety damskie i dzieciinne, Chustki płócienne batystowe, koronkowe, do nosa. Pończochy damskie i dzieciinne, Kamusze wełniane, Halki kortowe i trykotowe, — poleca w wielkim wyborze po cenach niskich!!!

MAGAZYN BIELIZNY MĘZKIEJ A. KIERST I S-ka

5. Bielańska 5, — vis-a-vis Daniłowiczowskiej.

Wszelkie zamówienia z prowincyi uskuteczniamy odwrotną pocztą, franco. Ceny niskie.

26—2

Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki, Kaldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie”. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

52--16

Fabryka i Magazyn
Józefa BETCHERA
JUBILERA
TEATRÓW RZĄDOWYCH
Sprzedaje
Wyroby Złote, Srebrne
i Brylantowe
Najtaniej
Z czem się poleca
Marszałkowska 139
8-my dom
od Ogrodu Saskiego.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych

52-15

i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Bielańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych — oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych.

Nowo otworzona Fabryka Polska TKANIN METALOWYCH

ORAZ

Wszelkich Wyrobów Drucianych (52 24)

E. CHRZANOWSKIEGO,

W WARSZAWIE,

Bielańska 16 (12) dom p. Zawiszy.

Poleca: Siatki ochronne przeciw muchom i wszelkim owadom, przy otwarciu okien, Siatki druciane dla fabryk papieru, cukrowni, krocmałni, cykoryi, cementu, młynów, suszarni, dla browarów, gorzelni. Wszystkie przybory pszczelnicze. Sita do kończyny białej i czerwonej, specjalnie przemennie ulepszone, które oczyszczają bakę, kaniankę i szczawik; za sita te, mimo konkurencyi, ja jeden zostałem zaszczycony nagrodą. Cena trzech sit do kończyny czerwonej ra. 3 kop. 70, a trzech sit do białej ra. 3 kop. 80. Sita do czyszczenia wszystkich zbóż z groszku, kakolu i kostrzewy. Liny do transmisji. Materace druciane, wszystkie do łózek, arfy do ziemi i zwiru, cylindry do czyszczenia zboża i rafy, oraz wszelkie wyroby galanteryjne, manekiny do upinania sukien, tak druciane jak i parzytki od ra. 4, które się rozsuwają podług wzrostu i tuszy. Pudła francuzkie do noszenia sukien. Fabryka przyjmuje ogrodzenia ogrodów i kłobów oraz płotów drucianych, po cenach nader niskich.

Wystawa przemysłowo roln. w r. 1885. **ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.**
DYPLOM UZNANIA. **MAGAZYN MEBLI**

ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tłomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowanie pokoiów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracje, podług najświeższych żurnali (13-1)

SKŁAD MEBLI

13-6

MAJSTRÓW STOLARSKICH

róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu,
Nr. 60 (150 nowy), I-sze piętro.

Pragnąc dostarczyć JJWW. i WW. Panom mebli dobrych, produkowanych we własnych warsztatach, poleca takowe od najskromniejszych do wykwiutnych, przyjmuje również zamówienia na roboty tapicersko-dekoracyjne, gwarantując za dobroć towaru i roboty.

J. TUROWSKI MALARZ-DEKORATOR ROBÓT KOŚCIEL-
NYCH I POKOJOWYCH
ORAZ WSZELKIEGO RODZAJU ROBÓT
Nowy-Świat Nr. 23. ZWYCZAJNYCH. (52-13)

Zakłady Wapienne SULEJOWSKIE I OPOCZYŃSKIE

firmy

„JÓZEF BANDURSKI I S-ka“

Określiwszy przymioty naszego wapna, w poprzednich ogłoszeniach, więcej teoretycznie, przy zaznaczeniu ilości i sposobu produkcji oraz załączeniu szczegółowych analiz, wykazujących na 100 części 99 1/2, czystego wapna; niniejszem zwracamy uwagę, na fakt stwierdzony w praktyce, przez pp. Budowniczych, Majstrów mularskich i Przedsiębiorców że wapno nasze prócz wielu cennych przymiotów, wrobocie jest tak tłuście i wydajne, iż po zlasowaniu go i użyciu do robót, przyrost wykazuje się co najmniej 25%, więcej w porównaniu z innemi (do 1000 cegły użytej do muru z wyprawą, potrzeba użyć innych marek 2 1/2 do 3 ch korcy, naszego zaś nigdy więcej nad 2 korce) zatem do kalkulacji ceny, tę różnicę, należy brać w uwzględnienie, z czego wypada, że wapno nasze nie tylko jest najlepsze ale i najtańsze!

Konkurencyja znając te przymioty podsywa się pod miano Sulejowskiego, ze sprowadzanemi **posledniejszymi markami** (najwięcej kolorem zbliżonemi do Sulejowskiego) rekomendując je za Sulejowskie węglem palone i jakoby z naszych zakładów pochodzące, objaśniając przytem w naiwnej nieświadomości, że wapno wypalane drzewem lepsze jest od wypalonego węglem (!!) dyskredytuje tym sposobem nasz produkt i wyrządza nam krzywdę! W obronie zatem własnego interesu, nie możemy tych manewrów konkurencyjnych, skierowanych nie tylko na naszą szkodę ale i ogółu interesowanego, pokrywać milczeniem i dla tego niniejszem ostrzegamy kogo należy.

Wapno przez nas produkowane, wysyłamy na wszystkie Drogi Żelazne, za gotówkę, lub zaliczenia kolejowe (nachnahme). Zamówienia przyjmuje kantor nasz w Warszawie Okopowa № 10. Tamże zamawiać można: CEMENT, GIPS, CEGŁĘ i GLINKĘ ogniotrwałą, TRZCI-
NĘ i t. p. 0-7

„ZŁOTY UL“ FABRYKA PIERNIKÓW

w Warszawie, — Nowy-Świat Nr. 7,

poleca:

Pierniki słodowe, Chleb miodowy (Pumpernickel) zalecany zagranicą przez lekarzy na wszelkie **dolegliwości żołądka**, oraz **cierpienia hemoroidalne**; — ułatwia trawienie u osób słabych i wątłych dzieci.

Fabryka nabywa miód wprost od producentów, w każdej ilości po cenach targowych, oraz miód do picia. (52-6)

J. SPORNY, Inżynier.

16-2

WARSZAWSKIE

PRZEDSIĘBIERSTWO ASFALTOWE i FABRYKA TEKUR.

poleca:

Asfalt (mastie) tekturę do krycia dachów i lak asfaltowy, smołę oczyszczoną bitum i gudron, oraz wykonywa roboty asfaltowe, dekarskie i betonowe po cenach nader umiarkowanych.

Oprócz zwyczajnych tektur do krycia dachów w różnych gatunkach, Przedsiębiorstwo produkuje **tafle izolacyjne** (isolirplaty) i wszelkie materiały potrzebne do krycia dachów, jako to: listwy trójkątne, paski, gwoździe i t. p.

Przedsiębiorstwo poleca również wyroby z betonu mianowicie: **chodniki w monolitach, rysztoki i burty**.
Zamówienia przyjmują się w Kantorze Przedsiębiorstwa w Warszawie, ulica Erywańska (Plac Zielony) Nr. 14.

Specjalna Fabryka i Magazyn **L. GAŁKOWSKIEGO** w Warszawie,
BIELIZNY Marszałkowska Nr. 133,
 róg Ś-to Krzyżkiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, — Kołnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. — Kalesony, Skarpetki i Szelki, — Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmodniejszych. — Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. — Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera.

Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spiesznie, po cenach stałych, możliwie niskich, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy krój Koszul męskich.“

52—20

TADEUSZ KOWALSKI i A. TRYLSKI

dawniej

H. Cegielski, Trylski i S-ka

Warszawa, Miodowa Nr. 4

polecają:

NASIONA ROŚLIN pastwnych i okopowych w wyborowym gatunku, jakoto: **MARCHEW, BURAKI, ZĄB KOŃSKI, LUCERNĘ** etc., oraz wszelkie **TRAWY** wypróbowanej dobroci.

Cenniki na żądanie wysyłamy.

3—3

HURTOWO-DETALICZNY

SKŁAD WYROBÓW TABACZNYCH

PAWŁA KOŁODZIEJSKIEGO i S-ki

przy ulicy Nowy-Świat Nr. 51 (róg Wareckiej).

10—9

Poleca:

wielki wybór cygar, tytoniu i papierosów, z wszystkich fabryk rosyjskich i miejscowych, oraz gilyz własnej fabryki, z prawdziwej francuskiej bibułki „ABADIE“.

Dla P. P. Handlujących odstępuje towar na najkorzystniejszych warunkach.

Cenniki na żądanie franco.

Fabryka Kufców, Waliz, Toreb, oraz wszelkich przyborów do podróży, konnej jazdy i polowania, Kurtki, Spodnie, Płaszczki skórzane, Płaszczki, Peleryny gumowe Pugilaresy, Portmonetki, Portcygury, Teki, Portfele
 poleca
FABRYKA i MAGAZYN T. L. BREYMEYER
 Warszawa,
 ulica Królewska Nr. 1,
 (róg Krak.-Przedm.)

52-34

Biszkopy, Herbatniki, Ciasteczka drobne do wina.

Róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu.



Róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu.

(12—2)

Cukry desserowe, Czekoladki, Kakao kuracyjne.

JAN CHRUSZCZYŃSKI

Stolarz

12-5

róg ulic Mazowieckiej i Ś-to Krzyżkiej Nr. 22,
 w Warszawie,

poleca w wielkim wyborze urządzenia pokoi sypialnych, jadalnych — i na zamówienia.

NASIONA

4—3

WYBOROWE — polecają:

ESTREICH i PODBIELSKI

Warszawa — Hotel Niemiecki.

Polski Kantor Bankierski

RADZISZEWSKI i S-ka

(52-15)

WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

Treść numeru: Przeciw tandecie!... (markowanie wyrobów rzemieślniczych). — Lud w świetle jego rzeczników. — Francya zdyżiała (d. c.). — Idealy belletrystyki pozytywnej (d. c.). — Listy z Galicyi. — Na posterunku, feljton Kamiennego — Z całego świata. — Kronika bieżąca kraj. i zagran. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. — W odcinku: Przez dolinę Iez, powieść J. Rogosza (d. c.). — W Dodatku Sprawozdanie handlowe. — Ogłoszenia.